

# B L U S Z C Z

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 22 MARCA 1930 ROKU

NR. 12

TREŚĆ NUMERU: O poziom wykształcenia kobiet — *Zofja Dzieciotowska-Brykalska*. Zanim klamka zapadnie. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. „Ściany płaczu“ — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Przeznaczenie“ — *Hanna Mortkowiczówna*. Wilno pod znakiem kobiety — *Eugenja Kobylińska-Masiejewska*. Z życia muzycznego — *P. L.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Przedwiośniane refleksje (dok.) — *M. Dobrowolska*. Uprawa warzyw korzeniowych (c. d.) — *Zofja Wróblewska*. Opieka nad kurami w zimie — *J. Neyman*. Nowalijki — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Z Koła Studjów Gosp. Domowego — *Marja Ankiwiczowa*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Nowości w zakresie tkanin — *Well*. Dodatek powieściowy: „Hanumica“ (dok.) — *Werka Szkurla-Ilijicz* — przełożyła *T. Krajevska*. Arkusz wzorów.

## O POZIOM WYKSZTAŁCENIA KOBIEC

Wraz z uzyskaniem, czy wywalceniem sobie prawa do studjów na wyższych uczelniach, kobietom otworzyło się niebo rozkoszy intelektualnych. Hurmem rzuciły się w tym kierunku, załazy uniwersytety i inne szkoły wyższe: handlowe, rolnicze, nawet techniczne. Zapisuje się wiele, kończy zawsze jeszcze spora liczba, choć niemało odpada. Fakt, że stosunkowo dużo kobiet rzuca studja przed ukończeniem, jest atutem w rękach wrogów kształcenia się kobiet, atutem zresztą bardzo problematycznej wartości, gdyż życie kobiety komplikuje się w okresie od 18-go do 25-go r. życia bardziej, niż życie mężczyzny w tymże wieku. Więc są one „kryte“, psychologicznie i społecznie wytłumaczone, a same, składając na ołtarzu swych przeznaczeń to, co kochają — wiedzę, nie mogą tworzyć barykady dla tych, co uczyć się chcą, co uczyć się będą i co studja ukończą.

Studja wyższe są dla kobiet pożądane, dla niektórych — o wybitnych zdolnościach i umiłowaniu wiedzy — konieczne, dla sprawy zaś kobiecej stały się wielkiem zwycięstwem, bez względu na to, czy są uwieńczone dyplomem: w każdym wypadku dają wiedzę, metodę i są szkołą myślenia.

Studja fachowe średnie i niższe są dziś koniecznością, o której przekonywać nie trzeba. Dyskusja zatrzymać się może jedynie na punkcie wyboru fachu, w związku z psychiką kobiecą i tem, czem los je obarczył, jako matkę i żonę.

Studja wyższe jednak będą zawsze dostępne i pożądane dla nielicznych (dziś jest w Polsce studentek około 12.000). Wykształcenie fachowe (czy wyższe, czy niższe) musi zdobyć cały świat kobiecy. Ani

pierwsze jednak, ani drugie nie wyczerpuje sprawy wykształcenia kobiet. Poza fachem, poza zasobem raz zdobytej wiedzy i wreszcie poza dyletanckim wykształceniem najszerzych warstw współczesnego świata kobiecego, leży coś, co każe umysłowi stać ciągle na baczność, czuwać i wyczuwać wszystko, co się dzieje w życiu, sztuce, w nauce i różnych jej specjalnościach, w intelekcie ludzkości. Orientowanie się w tych aktualnościach, do czego potrzebne jest specyficzne przygotowanie, stanowi to, co określamy słowem: człowiek inteligentny. To potoczne określenie nie dotyczy właściwie inteligencji, jako pewnej zdolności myślenia i szybkiej orientacji, dotyczy raczej zasobu wiedzy.

Nieraz się zastanawiałam, na czem oparte jest powszechne (prawie — powszechne) mniemanie, że kobieta jest mniej inteligentna od mężczyzny. Obserwacje moje tego mniemania nie popierały, ani w mych czasach szkolnych, ani w okresie studjów uniwersyteckich, ani później w życiu... Doszłam do wniosku, że sąd ten opiera się na dwu podstawach: 1) kobieta ma za mało wiedzy, co niesłusznie identyfikuje się z brakiem inteligencji, i 2) nie umie swej wiedzy „sprzedać“, nie umie się nią popisać wskutek wrodzonej lub nabytej nieśmiałości.

Ma wiedzy za mało z trzech powodów, jak sądzę: 1) od bardzo niedawna wykształcenie kobiet jest zagadnieniem, zrównanem co do doniosłości z wykształceniem mężczyzn; 2) życie przeważnie, t. j. w wypadku zamążpójścia, paraliżuje rozpęd do wiedzy młodej kobiety, dając jej obowiązki, które nie tylko czas jej zabierają, ale właśnie to, co najbardziej

do kształcenia się jest potrzebne — myśl i wolę; 3) kobieta nie docenia jeszcze rozkoszy wiedzy, wiedzy samej w sobie, nie docenia samokształcenia (nauka bez dyplomu), wiedzę traktuje zbyt „praktycznie“, ze względu na praktyczny efekt, np. ułatwione zarobkowanie.

Cisną się słowa żalu, słowa, któreby chciały zbudzić te śpiące inteligencje. Nie śpiące, bo szkodliwie aktywne, bo wyladowujące się na terenach niewłaściwych, niegodnych, tak beznadziejnie małostkowych. Inteligencja — to rodzaj energii, która się musi ujawnić. Nie umiając znaleźć szerokiego, bujnego ujścia, przeciska się przez szparki i szpareczki, rozprasza się w tysiące iskier, prędko gasnących, nikomu niepotrzebnych, a często szkodliwych. Tu tkwi przyczyna plotkarstwa, ogłupiającego a chronicznego narzekania na zdrowie, męża, służbę, kosztem niejednokrotnie obowiązującej dyskrecji, a nawet prymitywnych zasad przyzwoitości.

Dlaczego mężczyźni „robią wrażenie“ inteligentniejszych? Wychodząc z założenia, że nasze i ich potencje intelektualne są równoważne (choć nie jednakowe), przyczyny szukać trzeba nie w samych możliwościach mózgowych czy duchowych, a raczej w tem, że mężczyźni mają więcej zmagazynowanej wiedzy, interesują się całokształtem życia, nie potrzebując oddawać się częściom tego życia, jak to czyni kobieta, gdy jest matką i gospodynią domu.

Kobieta ginie wprost w tym światku, a inteligencja jej znajduje wyraz w rzeczach drobnych, małoważnych (?), codziennych. Mężczyzna ma warunki ku temu, by myśl jego szersze zataczała kręgi. I przez to samo interesuje się wszystkim: polityką, sprawami społecznymi i t. p. I czyta.

Kobieta czyta; lecz nie to samo i nie tak samo. Mężczyzna czyta dzienniki i różne czasopisma, bo one mu dają najwięcej wiadomości, powierzchownych najczęściej, lecz zato aktualnych, odpowiadających jego zainteresowaniom. My (a mówię o ogóle) czytamy powieści, rzadko poezje, rzadziej jeszcze dzienniki, prawie zaś nigdy książki naukowe. A jednak wiedzę czerpać można jedynie drogą lektury. Wykłady, odczyty są źródłem wiedzy dla niewielu, lektura dostępna jest dla każdego.

Życie kobiety układa się w większości wypadków w ten sposób, że zacieśnia się ono w kole rodzinnych ambicji i uczuć. Sądzę jednak, że duch czasu, zdemokratyzowanie wiedzy, żądające od każdej kobiety, zarówno zamężnej, jak samotnej, dużego wykształcenia, nie jest tak okrutny, by nie dać jednocześnie możności zyskania tego wykształcenia.

Kobieta niezamężna ma drogi wolne, jak mężczyzna, rozporządza całym swoim czasem i całym sercem. Ma łatwość kształcenia się, ma warunki. Jeśli z nich nie korzysta, to z własnej już winy, gdy się oddaje lenistwu, zabawom, lub nadmiernie poświęca się pracy zawodowej, pozostawiając mężczyznom wyłączne prawo do rozwoju umysłowego. Nie zazdroścę im: im więcej będzie mądrych, wykształconych mężczyzn, tem dla nas lepiej, to nasza wygrana. Korzystniej jest mieć nawet wroga mądrego, niż głupiego przyjaciela. Ale oni powiedziec to samo mogą i o nas. Mogą od nas żądać tego, co nam dają.

I my to dać możemy.

Kobieta zamężna, matka, przy pewnym wysiłku woli, może również sprostać nakazowi chwili: umysłowo iść z postępem. Wystarczy, sądę, zdać sobie sprawę, że potrzebne to jest dla dobra rodziny, dla jej podniesienia, dla jej przystosowania do życia współczesnego, uzgodnienia jej wartości z wartościami życia. Dziecko, mąż, kuchnia, dom — tak, to jest całość, dla której warto żyć i poświęcać się. Ale to poświęcenie będzie próżne, gdy zaniedbamy wielką, może największą część rodziny, t. j. siebie. Dziś dreptanie od kuchni do łóżka dziecinnego, lub z kuchni do biura i znów do kuchni — nie wystarczy ani społeczeństwu, ani mężowi, ani dziecku. Poziom intelektualny kobiety (nie mówię o równoważnym poziomie moralnym), zasób wiedzy (z musu dyletancki) jest pierwszym warunkiem utrzymania rodziny na poziomie... rzeczy potrzebnych.

Kobieta, która głośuje, a nie ma stać się narzędziem agitacji, musi być wykształcona politycznie.

Kobieta, która nie tylko urodzić, ale i wychować pragnie swe dzieci w czasach, które czynią wychowanie bardzo trudnym, musi mieć wykształcenie pedagogiczne.

Kobieta, która prowadzi gospodarstwo, a nie chce swych ideałów zamknąć w świecie rondli i szczołek, musi znać organizację gospodarstwa domowego.

Kobieta, która chce być pożyteczną społeczeństwu, musi wyczuwać rytm potrzeb społecznych, być społecznie uświadomioną.

Kobieta, która chce być ozdobą salonu, musi na terenie intelektu poruszać się tak swobodnie, jak na śliskiej posadzce.

Kobieta, która chce zarobkować, musi umieć zawód wybrać.

Kobieta, która chce równych praw, musi wypełnić równe obowiązki, musi dać światu poznać, że tak do pierwszych, jak do drugich w zupełności dorosła.

Zofja Dzieciolowska-Brykańska.



## ZANIM KLAMKA ZAPADNIE

Istnieje pewna bolesna i paląca sprawa, która od kilku miesięcy poruszyła opinię publiczną, wywołała cały szereg rozpraw i dyskusyj w stowarzyszeniach i związkach, artykułów i polemik w prasie, stała się tematem książki p. t. „Piekło kobiet” Boya-Zeleńskiego, — milczy o niej tylko dotychczas ogół kobiecy, poza głosami kilku wybitnych działaczek społecznych.

Sprawą tą jest sprawa przerywania ciąży i karalności tego czynu. W jaki sposób wyłynęła ona na forum publiczne? Oto w końcu września r. ub. odbył się w Warszawie Zjazd Prawników, na którym między innymi poddano dyskusji art. 141 i 142 „Projekt części szczegółowej kodeksu karnego”, według opracowania komisji kodyfikacyjnej brzmiący, jak następuje:

„Kobieta, która swój płód spędza, lub pozwala na spędzenie przez inną osobę, ulega karze więzienia do lat 5... (Art. 141).

„Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza, lub jej przy tem udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5 (Art. 142 § 1).

„Jeżeli sprawca spędzenia uprawia spędzanie płodu zawodowo, albo jeżeli ze spędzenia płodu wynikła śmierć kobiety ciężarnej, ulega karze więzienia do lat 15“... (Art. 142, §3).

Rezultat obrad nad temi artykułami na Zjeździe streszczono w „Wiadomościach II Zjazdu Prawników” w zdaniu następującem:

„w dyskusji nad referatem i koreferatem o spędzaniu płodu wypowiedziano się przeważnie za bezkarnością tego czynu, z modyfikacjami jego karalności w okresie przejściowym w szczególnie określonych przypadkach“.

Skąd ta rozbieżność między literą prawa, a nieskrępowaną opinią zawodowych prawników? Skąd ten rozłam między teorią a praktyką? Na jakiej podstawie opierają swoje argumenty zwolennicy kodeksowej niekaralności przerywania ciąży?

Na podstawie bezsilności prawa w danej dziedzinie. Twierdzą oni, że paragraf, назначающий ciężkie kary za przerwanie ciąży, jest martwy, i że ustawa, która nie może być wykonywana, jest demoralizująca, jest zaprzeczeniem prawa, jest ustawą od pałaty, jak np. ustawa o pojedynkach.

Ciężar jej spada jedynie na sfery najuboższe, korzystające z usług czynników niewykwalifikowanych, lub barbarzyńskich rad i pomocy kumoszek. Sfery zamożne zaś, mające największe szanse wydania i wychowania zdrowego potomstwa (a o to przecież chodzi zwolennikom metody populacyjnej), nie ponoszą i dziś żadnych konsekwencji paragrafu, mo-

gą sobie bowiem pozwolić na wysoki koszt fachowo dokonanej operacji.

Wedle opinii znawców art. 141 przekracza rok rocznie kilkadziesiąt tysięcy kobiet, a któraż z nich karana jest więzieniem? Sprawa wychodzi na jaw jedynie wrazie śmierci winowajczyni, którą obawa przed prawem pozbawiła opieki lekarskiej i rzuciła na łup karygodnego partactwa, i wówczas czytamy w kronice sądowej, że taka to a taka akuszerka została skazana za wykonanie niedozwolonej operacji, która się skończyła śmiercią pacjentki. Zazwyczaj jednak i ten tragiczny wynik pokryty jest milczeniem.

Wychodząc zatem z założenia faktycznego, należałoby wnioskować, że dotychczasowa forma prawnego ujęcia sprawy jest wadliwa i bezcelowa i trzeba ją, w imię dobra ogólnego, zastąpić inną, osiągającą istotnie pozytywne rezultaty w walce ze złem.

Nie znaczy to bynajmniej, aby nawet w razie ewentualnej zmiany paragrafów 141 i 142 sprawa przerywania ciąży miała być pozostawiona uznaniu jednostki. Nawet najzagorzalsi zwolennicy przerywania ciąży uważają sam fakt za zło, któremu należy przeciwdziałać i zapobiegać środkami racjonalnymi, nie na drodze zakazów i gróźb prawa, które ujawniają jedynie całą jego w danym wypadku bezsilność.

Czy nie należałoby raczej — powiadają — stworzyć takie warunki życiowe, społeczne i prawne (ustawa o alimentach, o dochodzeniu ojcostwa), otoczyć macierzyństwo atmosferą takiej opieki materialnej i powagi moralnej, żeby przyjście na świat dziecka mogło być dla każdej kobiety źródłem radości, a nie zgryzoty, często wstydu, niekiedy trosk, trudów i nędzy ponad siły matki i niemowlęcia. Jeśli społeczeństwo chce dysponować matką, powinno zaopiekować się nią w czasie jej ciąży.

Zwolennicy bezwzględnej karalności przerywania ciąży, wychodząc z założenia, że ze złem należy walczyć najsurowszemi środkami i że prawo jest wyrazem moralnego stanowiska społeczeństwa, są za utrzymaniem paragrafów 141 i 142 w całej rozciągłości, bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń, gdyż, jak twierdzą, ich skasowanie byłoby zrozumiane przez mało uświadomioną masę jako prawna sankcja przerywania ciąży, nawet jako zachęta do czegoś, co jest bezwarunkowo objawem szkodliwym.

Kościół katolicki uważa zabijanie płodu żywego za ciężki grzech i tego stanowiska nie zmienia, choćby wszystkie kodeksy świata uchwały jego bezkarność. Ale ileż innych ciężkich grzechów, np. cudzołóstwo, albo niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, potępia zarówno religja, jak etyka naturalna, a jednak nie są one objęte paragrafami kodeksu karnego.

gdyż stosowanie tych paragrafów w praktyce okazało się bezcelowe, a nawet prowadzącem do szkodliwych nadużyć.

Sprawa karalności, czy bezkaralności przerywania ciąży jest sprawą poważną, zawiłą, wymagającą przed jej ostatecznym rozstrzygnięciem wszechstronnego oświetlenia z punktu etycznego, społecznego i medycznego.

Dla orientacji naszych czytelniczek przytaczamy opinię tych stowarzyszeń, które w tej sprawie się wypowiedziały.

Z pośród stowarzyszeń o charakterze społeczno-naukowym towarzystwo kryminologiczne postawiło tezę niekaralności przerywania ciąży w trzech pierwszych miesiącach jej trwania; towarzystwo eugeniczne wypowiedziało się przeciw przerywaniu ciąży z punktu widzenia kultury rasy.

Z pośród stowarzyszeń kobiecych Klub polityczny kobiet postępowych wypowiedział się jednogłośnie za niekaralnością przerywania ciąży przez lekarza w pierwszych trzech miesiącach, po wzięciu pod rozwagę przyczyny stanu zdrowia matki, oraz przyczyn społecznych lub moralnych. Robotnicze Towarzystwo Służby Społecznej wypowiedziało się mniej więcej w tym samym duchu. Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, jak również Stowarzyszenie Kobiet z wyższem wykształceniem organizowały w tej sprawie zebrania dyskusyjne, ale ogólnych uchwał nie powzięły. Stowarzyszenia o kierunku zachowawczo-religijnym, jeżeli nawet urządzały w tej sprawie posiedzenia i referaty, o ich przebiegu i wyniku nie informowały prasy.

Pojedyńcze głosy kobiet, znanych działaczek społecznych, wykazują większą od mężczyzn rozbieżność i radykalizm w tej sprawie. Jedne z nich, wychodząc z założenia, że kobieta, jako człowiek wolny, nie może i nie chce być narzędziem ślepej natury, i opierając się na statystyce poronień, dzieciobójstw i podrzuceń, unaoczniającej fakt, że żadne społeczeństwo nie zdoła utrzymać tyle dzieci, ile może na świat wydać kobieta, — żądają świadomego regulowania ilości potomstwa, a zatem całkowitej bezkarności przerywania ciąży.

Inne twierdzą, że niekaralność poronień, albo dopuszczenie ich przez t. zw. wskazania społeczne, stałoby się źródłem spustoszenia moralnego i społecznego, wytworzyłoby przekonanie, że prawo pozwala na coś, co religja potępia.

Znamiennym objawem ustosunkowania się opinii kobiecej do art. 141, 142 jest to, że zarówno jego zwolenniczki jak przeciwniczki spotykają się na wspólnej platformie, jaką jest obrona interesów kobiety-matki. Zwolenniczki bezkaralności przerywania ciąży podnoszą fakt, że dotychczasowe prawo jest niesprawiedliwe, bo całym swym ciężarem spada jedynie na kobietę; przeciwniczki ostrzegają, że skasowa-

nie art. 141 i 142 osłabiłoby w mężczyźnie poczucie odpowiedzialności za współżycie z kobietą, a zatem znowu wyszłoby na jej krzywdę. W obu wypadkach cel jest jeden, tylko taktyka wręcz przeciwna. To, co jednym wydaje się umocnieniem stanowiska kobiety, dla drugich równałoby się pozbawieniu jej naturalnej obrony.

Jednocześnie z toczącą się na łamach pism i na zebraniach stowarzyszeń dyskusją, Komisja kodyfikacyjna w drugim czytaniu projektu zmodyfikowała odnośne paragrafy w sposób następujący:

„Art. 141. Kobieta, która płód swój spędza lub pozwala na spędzenie przez inną osobę, ulegnie karze więzienia do lat 5.

Art. 142. Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza lub jej przy tem udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5.

Art. 142a. Sprawca czynu z art. 141 i 142 nie ulega karze, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem był konieczny ze względu na zdrowie matki, dobro rodziny, lub ważny interes społeczny“.

Niewiadomo, czy ten nowy projekt zostanie przyjęty i wejdzie do kodeksu, jako prawo obowiązujące; niewiadomo, jakie wyda rezultaty w zastosowaniu praktycznym. Jedno jest pewne: nie wolno dziś decydować o kobietach bez kobiet. Sprawa karalności, czy niekaralności przerywania ciąży wisi w powietrzu. Dla jej rozstrzygnięcia nie wystarczają obiektywne sądy uczonych teoretyków. Nawet wypowiadający się w tej sprawie znakomici prawnicy przyznają, że między projektem ustawy, a życiem istnieje wielki rozdźwięk, że opinja powinna wyprzedzić ostateczną decyzję komisji kodyfikacyjnej, że, aby rzecz stała się dojrzała dla posunięć ustawodawcy, wskazaniem jest, by nastąpiła wprzód przemiana pojęć.

A zatem trzeba powołać do głosu zainteresowany w niej bezpośrednio ogół kobiecy. Niech przemówią wszystkie: i te szczęśliwe, dla których macierzyństwo zawsze było błogosławieństwem; i te, którym warunki życiowe nie dały zostać matkami; i te, które dobrowolnie wyrzekały się tego macierzyństwa.

W tym celu otwieramy współpracowniczkom naszym i czytelniczkom łamy „Naszej Mównicy“ dla dyskusji w tej sprawie. Chodzi przede wszystkim o wyjaśnienie faktu, czy kobiety są za zniesieniem całkowitem paragrafów 141 i 142, czy za ich utrzymaniem w pierwotnym brzmieniu i rozciągłości, czy za ich zmodyfikowaniem w myśl powtórnego opracowania komisji kodyfikacyjnej, lub w innej formie.

Zaznaczamy, że odpowiedzi powinny być głęboko przemyślane i ściśle umotywowane, aby ewentualnie stanowić mogły materiał rzeczowy dla rozważań komisji kodyfikacyjnej.

Chodzi o rzecz ważną: o ustalenie wytycznych postępowania moralnego i prawnego nie tylko dla ogółu kobiet, ale dla całego społeczeństwa.

HERMINJA NAGLEROWA

47)

## ZAWALIDROGA

(powieść)

W przedpokoju, już ubrana do wyjścia, jakby sobie znowu przypomniała jego sprawę:

— Więc to twoja pierwsza miłość, Franku? Poklepała go po policzku i zaśmiała się.

## XLIII.

Zofja śmiała się jeszcze w samochodzie, rozbawiona zakochaniem się syna. Tak jej to komicznie oznajmił, tak się napuszał zadowoleniem i dumą, jakby nabierał wartości i barw. Musiała myśleć z czułością, jak zabawny jest ten jej chłopak. Sprawiało jej także przyjemność, że natychmiast się zwierzył, że taki przywiązany do niej. Teraz stanie się chyba przystępniejszy, teraz już trochę zrozumie, że i inni...

Zamyśliła się nad Frankiem, nad trudnym charakterem tego chłopca. Pozbierała tak jego wszystkie lata od dzieciństwa, kiedy to był taki miły i miał rozrzucające rączki. Wtedy posiadała go, był przecież jakby jej własnym ciałem. Potem może zbyt mało poświęcała mu uwagi, gdy rósł i brzydł. Był już wtedy odrębny i, jakby narastając korą, stawał się chropawy, nieprzytulny. Któregoś dnia przeraziła się jego chrapliwego głosu, nagle wystrzelającego w piskliwe tony. Pamięta, że żądała, aby jak najmniej mówił, ale Franek był dumny ze swojego „basa“ i chwalił się, że mutuje.

Był to najprzykrzejszy okres, kiedy dziki i nieposkromiony przeciwstawiał się złośliwymi wybrykami. Od tego czasu właśnie „trzymała go krótko“ i tak już zostało. Do dziś zachowała swoją obronną pozycję wobec syna i jakby nie mogła mu jeszcze dowierzać, bo nawet jego serdeczność wydawała się jej niesforna i drażniąca. Miała wrażenie, że jest chytry, nawet podstępny, albo może tylko zanadto i tak poswojemu nieprzyjemnie ciekawy. Ale teraz jest już naprawdę dorosły i życie zaczyna go szlifować, aby nabrał gładkości i blasku.

Tak, teraz jest już dorosły. Ma śliczne, szare oczy, miły uśmiech, jest mądry i zdolny. Nic ponadto nie wiedziała o swoim synu i teraz właśnie poczuła ciężką, ślepą troskę matki. Jaki on będzie w życiu, czem będzie? Pewnego dnia odejdzie od niej, odejdzie tak prędko, że nie zdąży zastanowić się nad nim i wcale nie będzie go znała. Może nawet już się to stało dla tej dziewczyny, którą kocha. Zofji wydało się niesłuszne i krzywdzące, że go musi stracić. Przecież nawet go jeszcze należycie nie posiadała, jeszcze się z nim nie pojednała od tego czasu, gdy musiała nad nim zapłakować. Za prędko się to wszystko dzieje, za prędko przemienia.

I tak było, że musiała teraz przyznać się do czegoś, co było dla niej samej dziwne: — Franek był jej trwałym zadowoleniem, a niechby i szczęściem! Bo nibyto miała swoje sprawy bardziej własne i świadome, w tych sprawach żyła burzą i ciszą, spokojem i rozpaczą, ale zawsze istniała codzienna pamięć o Franku, to troszczenie się, żeby miał wszystko, żeby miał to swoje bezpieczeństwo i swoją wygodę. Nic przecież więcej nie mogła zrobić dla niego, choć ojciec po ucieczce Franka z Kaliniec pisał, że źle wychowała syna.

W szatni przyjrzała się sobie w lustrze. Jeszcze miała na twarzy szarość swoich smutnych rozmyślań, ale jeden wewnętrzny gest potrafił rozjaśnić oczy. Świetna i błyszcząca przeszła przez salę. Niechże się jej napatrzą od stóp do głowy, od czarnych pantofelków z brylantowymi klamrami do koafiury, jak złoty chryzantem!

Ola zasłamała Kazimierza, podając sali obnażony trójkąt pleców. Zofja nie mogła teraz lubić Oli, nie mogła już nawet wybaczyć jej sprytu i podziwianej zręczności. Bo wreszcie rozumiała, że w tem towarzystwie i w wyraźnych już intencjach Oli była jakby firmantką, albo tylko pośredniem ogniwiem. Długo nie była świadoma swojej roli i dlatego narażała się przyjaciółce — aktywnością. Zato mściła się Ola kłującymi słówkami, albo dotkliwą brawurą, i tak mogli panowie bawić się strategją walczących kobiet. Ale siły były nierówne. Zofja parowała niezręcznie, jej odpowiedzi zdawały się nie mieć żadnej mocy, żadnego znaczenia. Rozumiała, że tej sztuki nigdy już nie pojmie i dlatego wołała uśmiechać się, aby być dobrą i wyrozumiałą przyjaciółką. To podobało się niekiedy panom i wtedy brali Zofję w obronę, docinając Oli nieprzyjemnie i zjadliwie. Wśród ciągłej szermierki słownej wytwarzało się jednak to przegrupowanie, które osamotniło Zofję. Ola nie miała już żadnych skrupułów.

— Adolf stracony, muszę myśleć o następcy — zwierzała się Zofji.

Zofja przekonywała się więc, że weszła w świat, w którym potrzebna była jakaś inna mądrość i była upokorzona, że nie posiada tej mądrości. Przynosiła swój sentyment dla Kazimierza, niby bukietik primulek, a tu właśnie potrzeba było ostrych przypraw: drwin i cynizmu. Napewno wydawała się nudna i prowincjonalna.

— Pani jest dla nas niebezpieczna — mówił Adolf — nie potrafimy się odwdziżyć za taki wdzięk — serca.

Wtedy musiała zastanawiać się nad sobą i swoją niepoprawnością. Bo przecież zbyt wiele jeszcze żądała, zanadto się jeszcze ceniła. Ale już nie mogła żyć bez komfortu drogich lokali, i tak było przyjemnie, gdy budziła zachwyt piękną suknią. Już tylko potę tu przychodziła, aby podniecać się czyjś uporczywym patrzeniem, czyjś zdaleka wielbiącym uśmiechem. Weselała wtedy i dla kogoś nieznanego piękniała jeszcze więcej. Kazimierz określał to:

— Pani Zofja kokietuje wszechświat!

Adolf musiał jednak wistocie nudzić się w ich towarzystwie, bo przysiadł się do stolika tancerek i jawnie już asystował tej szczupłej blondynce, tej zawsze jakby trochę smutnej i zawstydzonej Jadzi. Tańczył z nią, niby bąk z komarem, i wydmuchiwał swoje zmęczenie w jej cienkie, jedwabiste włosy. Wszyscy jednak wiedzieli, że Jadzia kocha się w Janku, a Ola docinała:

— Niech się trochę natrudzi przy tej małej.

Zato Kazimierz, biorąc schedę po Adolfie, szepciem ustalał dni i godziny. Zofja musiała więc rozmawiać z Jankiem, który właśnie nadszedł i długimi rękami czesał zadymione powietrze sali. Janek grzecznie rozpytywał o Franka i było nawet przyjemnie wspominać tu syna, wyodrębniając się nieco od flirtowych poczynań Oli. A także potem, gdy Zofja tańczyła z Jankiem, należało poskarżyć się, że syn jej jest trochę dziwny, że właściwie mogłoby być inaczej. Jest przecież dorosły! Powiedziała nawet:

— Nie musiałabym szukać obcego towarzystwa.

Myślała tak naprawdę w tej chwili, bo coś wreszcie powinien Franek i dla niej zrobić, czegoś bodaj wyrzec się dla niej. Nigdy dotąd nic dla siebie nie żądała, ale teraz niechby jej trochę usłużył, niechby na coś się przydał.

Janek odrazu miał gotowy plan: — Ja go tu ściągnę, napewno go ściągnę. Lubi przecież tańczyć.

Ale Zofja przypominała sobie, że nie jest bez winy wobec Franka. Nie tak dawno ofiarowywał się spacerami i ślizgawką, a ona nie chciała jego łaski, nie chciała tej obraźliwej opieki syna. Odmierzając kroki blues'a — jakby liczyła rytm wydarzeń. Trzeba do czegoś nawrócić, trzeba się przed czemś, co było kiedyś niedostrzeżone, pokłonić, trzeba się już nie wstydzić, że tak jest. Saksofon płakał, jak chore dziecko, z megafonu ryknął bełkotliwy angielski refren, a w refrenie zmieniały się tylko słówka i przeinaczały sens życia — myślała Zofja. Nie, już nie rozpacziała, już się przed niczem nie broniła. Trochę się rozmarzyć, trochę się wzruszyć i nic nie będzie za trudne do zniesienia. Rozrzewnienie ścisnęło gardło, a melodramatyczne wzruszenie zapluskowało łzami w samym sercu. Tak właśnie musiała myśleć o synu i o swoim

przedziwnym losie. Ale myśląc o tem, uśmiechała się i gdy mijała orkiestrę, wzrokiem, jak wstążką, pogładziła spoconą twarz murzyna. Nie uszło też jej uwagi, że murzyn zarzął wszystkimi białymi zębami i rozdygotał się wzmożonym rytmem, niby pajac, pościągający za sznurek. Zofja narazie prawie pocieszyła się tem, że Janek przygarnął ją do siebie z czułością dansera, dbałego o każdy krok swojej damy. — Zbieranie małych radości jest mądrością nieszczęśliwych — usprawiedliwiała się Zofja przed sobą i komplementy Janka: że tak dobrze z nią się tańczy i że ma prześliczny kolor włosów — przyjmowała już wdzięcznym sercem.

Twarz pięknego chłopca pochylała się nisko i kwitła jej życzliwym oczom. Trzeba było stwierdzić, że to zupełnie wyjątkowa uroda i że ta jakby wyrzeźbiona i pieściwie wygłaskana głowa, te barwy ciemne i nasycone — sprawiają jej szczególną przyjemność. Już go wyczuwała nie tylko wrażliwością wzroku, ale leciutko zaczynała go rozpoznawać zbliżeniem i dotykem. Od jego ręki szedł musujący prąd, więc rozjaśniona, niczem lampa, brała w siebie znaczenie jego słów. Były to wprawdzie niezbyt wymyślne przymiślenia, a nawet brzmienie głosu Janka było już skądinąd zapamiętane, ale, mimo to, rozgrzewał, jak kaloryje ciepła. Więc nie mogła sprzeciwiać się, gdy ścisnął rękę i zbliżał się zbyt torsem, a nawet sama nadawała już sens swojemu spojrzeniu. Niby jeszcze trzeźwa i drwiąca, z dowcipną przekorą zaprzeczała uwielbieniu Janka, które, doprawdy, stawało się już oszalamiającym zuchwalstwem.

Gdy pogasły światła i z reflektorów spadły na środek sali blaski czerwone, fioletowe i zielone, gdy rozszczepiły się kolory tęczy i w zmiennym porządku pochłaniały się wzajem — Zofja i Janek siedzieli blisko siebie. Cygańskie brzękadła tancerki, jak dzwonki przy uprzęży, rwały się wraz rytmem czardasza, tamborek uderzał głucho o głowę, w kolano, lub w nagle w górę wyrzuconą stopę. Czarne kędziory i zielony gorsecik, złoty zygzak szychu, czerwien spódnicy, rozwianej nad koronkami majtek, i dzikie błyski zębów — były niby furkot płomienia, który wytrysnął tu na środku sali i, jak żagiew, rozpałał patrzących. Oczy w ciemnych kątach sali żarzyły się, niby węgielki w popiele, a skrzypce w orkiestrze wyciągały, jak włos, cieniutką, to znowu w pukle kędzierzawiącą się melodję Sarasatego. Lecz nie skrzypce, a właśnie płacząca wiolonczela miała ludzki, gorący głos i Janek przemawiał jej molową tonacją. Zofja dowiadywała się teraz, jaka jest cudowna, bo wyszczególniał jej usta i oczy, jej wdzięk i urok. Mówił, że już oddawna jest nieszczęśliwy, bo przecież wie, że za wielką byłaby to łaska.



M. H. SZPYRKÓWNA

## „ŚCIANY PŁACZU“

Był czas, kiedy gorąco się niepokoiłam przedziwną biernością ogółu w sprawie mieszkaniowej. Nie było mieszkań i nie było. Rząd nie dawał kredytów, no to i nie dawał. Nic na to przecież poradzić nie można. Odstępne płaciło się, no bo i jakże inaczej? Ogłoszeń po „Kurjerkach“ było minimalnie, bo i któżby tam dziś miał mieszkanie na zbyciu? Ludzie zamierzali pod mostami, i na to już święty Boże nie pomoże: tak było widocznie w gwiazdach (magistraczkich) zapisane.

I nagle — coś się urwało. Wszystko naraz z najprzeróżniejszych stron zaczęło spazmatycznie budować. Dużo, byle jak i prędko, w myśl popularnego powiedzenia. Każdy nagle stawał się fachowcem-kooperatywistą. Zdarzali się nawet kooperatywiści-recydywiści, którzy budowali po parę domów i spółdzielni. Zanim skończyli drugą, z pierwszej zaczynał się sypać tynk: wtedy śpiesznie zaczynał trzecią, bo przecież człowiek, który aż tyle buduje, nie może się na tem nie znać: to sugestjonuje nawet wrogów! Warszawa nagle w rozmaitych końcach miasta, pod rogatekami, na kolonjach, a zrzadka — nawet w śródmieściu — zaczęła się czerwienić ceglami szkieleciami domów, które magicznie wyrastały do potrzebnych ku uzyskaniu pożyczki rządowej granic, uzyskiwały ową pożyczkę i — z niezbadanych powodów, określanych zazwyczaj, jako ogólna stagnacja, staczały się, nie osiągnawszy nigdy stanu mieszkalnego. Nad temi niedobudowaniami sensytywi medjalni o każdej porze dnia i nocy wyczuwali unoszące się żalodne jęki lekkomyślników-lokatorów, którzy przepili na cement i cegłę swoje spółdzielcze grosze.

Szkieleców takiej zawiedzionej szczęśliwości własnogniazdkowej Warszawa liczy dość obficie. Koło ich żalobnych murów tułają się jednakowoż wiekuiście jakieś optymistyczne legendy o pożyczce zagranicznej, o kapitałach ubezpieczeniowych i wreszcie — o najnowszych i już-już mających się wykluczyć decyzjach rządu, który sypnie hojnie złotówkami i załata szczyby murów. W każdym razie, tymczasem jeszcze nie załatał: tylko rzadkie, a tajemnicze wieści, głoszone ścisłym szeptem, szemrzą o rzekomo osiągniętych przez wpływowego Iksa, czy szczęściarza-Ygreka sumach na dobro tego, czy owego niedokończeniaka. W ten sposób kilkanaście dachów dumnie zabłysło nad „ścianami płaczu“, jakimi słusznie można by nazwać smętnie ziejące próżnią nienakrytych murów kooperatywy. Ktoś tam w nich zamieszkał i ma nareszcie własny dach nad głową; a jeżeli przypadkiem miał go i dawniej, to puszcza nowozbudowany na pasek dla bezdomniejszych, a sam się raduje, że ma aż dwa. Surowe prawa polskie bardzo taką

rzecz karzą; ale zawsze nie o tyle, żeby ktokolwiek istotnie z tego powodu ucierpiał. Podobno, brak dowodów. Dowód — to rzecz szalenie trudna, i przyłapać kogoś na gorącym uczynku, a wiedzieć, że ten uczynek jest popełniany — to dwie różne sprawy. Czynniki sprawiedliwości ulicznej przez czas jakiś prowadziły wyteżoną, a bezpłodną akcję przeciwko jakimś rzezimieszkom, grającym w karty, czy coś podobnego, w przechodniej bramie: co zajdą z jednej strony, to łotrzyki uciekają drugą. I dopiero któryś z „Kurjerków“, użaliwszy się ich zmęczeniu, doradził wybieg niepospolitej chytryści: obstawić policją oba wyloty bramy naraz! Podobno — pomogło. Niestety! Sprawa mieszkaniowa w Polsce jeszcze swego genjusza nie znalazła: mieszkania, których sprzedawać nie wolno, są sprzedawane; te, których kupować nie wolno, są również, mimo wszystko, kupowane; te, których posiadać nie wolno, są posiadane, i takie, jakich budować nie należy, są budowane.

I to pozostaje głównym szkopulem.

Jakież mieszkania zasadniczo budować należy?

To, zdawałoby się, proste pytanie bynajmniej znowu tak łatwe nie jest. Bo pierwszą odruchową odpowiedzią byłoby, oczywiście:

— Naprzód powinny istnieć takie mieszkania, w których ludzie mogliby mieszkać: ci najbezdorniejsi ludzie. A więc — te najprymitywniejsze mieszkania.

A druga odpowiedź:

— Mieszkania powinny być takie, abyśmy się ich popierwsze:

— Nie potrzebowali wstydić przed każdym cudzoziemcem, który i tak jest skłonny uważać Polskę za kraj półdziki.

— Żeby zadowalniały one nasze własne wymagania kulturalne i higieniczne, co już samo przez się stworzy pewną estetykę.

— Żebyśmy nie potrzebowali za lat niewiele burzyć mieszkań, jakie dziś z wielkim nakładem budujemy, bo się porozpadają przez ten czas same, albo okażą się zbyt daleko odskakującymi swem ubóstwem wygod i pomieszczenia od poziomu, jaki (co daj Boże, amen!) przez ten czas się podniesie wraz z dobrobytem.

Stądby wypływało, że:

Budownictwo powinno się rozpaść na najmniej dwa typy: domy najuboższe dla bezdomników — traktować, jako zło, które należy ograniczyć ściśle do koniecznego minimum; a domy, obliczone na trwanie i pewien poziom kulturalny, bezwarunkowo wyzwolić z pod zbyt surowych rygorów, zgłaszanych dla nich

przez kredyt, bo oszczędność na nich zemści się bardzo kosztownie.

Obrzydzeniem przeciętnego domu warszawskiego wbrew budownictwu innych stolic, jest: brak ozdobnych frontonów, czyli t. zw. styl koszarowy, wejście z bramy, co zawsze obrzydza ulicę; ganek jest o wiele ładniejszy. Ale jest to typ ściśle polskiego budownictwa, który chyba nie da się zmienić doraźnie, jakkolwiek potrzeby, którym służył, znikły (zajazd dla koni), brak wyokrąglonych narożników, co dodaje tak wiele elegancji, zwłaszcza placom, brzydki typ balkonu, podobnego do skrzyni w przeciwstawieniu do półokrągłych z niską balustradą, oraz brak urządzeń na ozdabianie ich kwiatami (rowki w parapacie), za mało nisz i wykuszów, brak weneckich okien i zwierciadlanych szyb i za małe witryny w sklepach na dole, dziś, na szczęście coraz lepiej oświetlanych.

Wewnątrz: brak urządzeń gospodarczych: zlewy z gorącą wodą, pralnie w suterenie, odpowiednie piwnice i strychy, szafy ściennie na ubranie, książki i rzeczy, pawlacze na kosze, staroświeckie piece, zamiast ogrzewania i rzadko — dobra łazienka. Brak wind na śmiecie i węgiel od kuchni, i brak wind wogóle.

Wszystkie te cechy razem sprawiają, że domy nasze, mając wewnątrz ładnie urządzone mieszkania, nie mają tej elegancji, jakaby odpowiednio mieć mogły, dzięki bramom, oszpecającym ulicę (jedynie ozdobne są pałace — właśnie bez bram), a mieszkania, mając cenne nieraz umeblowania, nie dają wcale tej wygody, jakaby do nich słusznie przynależać powinna.

Jest straszliwie trudno ruszyć z miejsca machinę, nastawioną tak, nie inaczej. Mamy wielu i zdolnych architektów, którzy niejedno na świecie oglądali i niejedno zastosowaćby mogli. Niestety! Zawsze słyszy się tę samą stereotypową odpowiedź:

— Brak pieniędzy: to podnosi koszt!

Albo:

— Nie można: ministerstwo nie pozwala! Bo toby już był zbytek.

I stąd budujemy mieszkania trzypokojowe (proszę kulturalnie rozmieścić w niem pięć—sześć osób, przeciętnie stanowiących rodzinę), koszarowo jednostajne, jak szpitale, czy więzienia, bez centralnego ogrzewania i z jednemi schodami dla kuchni i frontu, bez wind (psy, koty, węgiel, drzewo, śmiecie, wapno e tutti-frutti). Mowy niema o jakichś składzikach, spiżarniach, jasnej suterenie na pralnię, czy przechowalnię. Mowy niema o jakimś wygodniejszym, kulturalniejszym, nowym typie. Nowość zawiera się, jak pokazują wystawy i schematy, w składanych łózkach, w ukrytych krzesłach, w odrzucanych blatach i innych pomysłach, skądinąd doskonałych, ale które co najwyżej — utrudniają życie: ani chorować na wyskakującym łóżku, ani jadać na odkładanym blacie nie jest ulepszeniem: jest jedynie — możliwym przyzodobieniem ubogiej i oszczędnej konieczności. Ale, na miły Bóg! Czy rząd, który zastał Polskę podrujnowaną, to prawda, ale zostawi ją... składaną (najmniejsze mieszkanie amerykanie obmyślili lepiej, bo... w kufrze!) — czy rząd ten naprawdę posunie naprzód sprawę rozbudowy naszego kraju, i zwłaszcza — stolicy?... I, czy za lat niewiele nie będzie musiał rozbierać, dziś pobudowanych, misternych domeczków z kart, aby zastąpić je czemś bardziej trwałem i wygodniejszym? Bo w końcu, mieszkanie — to nie ul, w którymby ludzie mogli bezkarnie bzyceć za woskowymi przepierzeniami i nie pozacinać się żądłami na śmierć od samego brzęczenia!

Obyż tedy akcja budownicza, która ostatnio zaczęła szczególnie się ożywiać, jeżeli nie faktycznie, to przynajmniej — mnogością stowarzyszeń i kół, jakie się projektami budownictwa zajęły — obyż ta akcja zdołała skupić się w jednych, a fachowych rękach i nie lepila całej jutrzejszej Polski na wzór domu robotniczego, który może reprezentować pewną konieczną część rozbudowy, ale przecież nie może i nie powinien położyć swego piętna na jej całości!

HANNA MORTKOWICZÓWNA

## PRZEZNACZENIE

*Już nie można na chwilę odbiec,  
I nie można uciec na krok.  
Kędzierzawy wenecki chłopiec  
Podniósł na mnie twój żywy wzrok.*

*Zakurzony śniady kamieniarz  
Miał podobny do ciebie głos.  
Nie zatracasz się, nie odmieniasz,  
Jak niechybny, cierpliwym los.*

*Coraz wronniej, coraz goręcej,  
W górze lazur, pod stopą proch.  
Na to trzeba blasków Florencji,  
Na to trzeba uroku Włoch?*

*Na to było w świata przestrzenie  
Wlec za sobą ciężar smych trosk,  
By odnaleźć w katedrze w Sienie  
Własne serce, miękkie, jak wosk.*



EUGENJA KOBYLIŃSKA-MASIEJEWSKA

## WILNO POD ZNAKIEM KOBIETY

— Od kobiety... do kobiety — mruknął jeden z literatów, nieco zirytowany obfitością wystąpień kobiecych w Wilnie. A tu właśnie ledwie się skończyła jedna uroczystość udekorowania orderem Polonia Restituta pani Heleny Romer-Ochenkowskiej w sali województwa, już trzeba było na gwałt śpieszyć na drugą do magistratu, gdzie w sali posiedzeń rady miejskiej p. prezydent Folejewski miał wręczyć Kazimierze Illakowiczównie nagrodę literacką miasta Wilna. To widocznie wyprowadziło go z równowagi...

Coprawda, dzień był dżdżysty i ołowianem niebem rozpostarł się nad dachami Wilna.

Wpadłam do województwa zdyszana, obawiając się spóźnienia, ale — na szczęście — nie zanosilo się na to. Sala udekorowana, wszędzie znajome twarze, powitania, gwar rozmowy. Odczuwam rodzaj tremy, serce bije mi mocniej i z pewnym przestachem spoglądam na p. Romer, która z całkowitym spokojem ducha zasiada w przygotowanym dla niej fotelu.

— Biedna pani Helena — wzdycham ze współczuciem.

— Co też pani mówi! — oburza się mój sąsiad. — Właśnie znalazła pani odpowiednią chwilę do utyskiwania!

— Ależ... — bronię się skonfundowana — w każdym razie to tak „strasznie“ wygląda. Jak na egzaminie — dodaję prędko, przypominając sobie z przerażeniem, że mam złożyć egzamin nauczycielski.

Ale oto wchodzi p. wojewoda. Rozwija jakiś duży papier. Każą wstać. Ogarnia mnie popłoch i współczucie moje dla p. Heleny rośnie z każdą chwilą. Widzę dokoła skupione twarze. Niektóre panie mają łzy w oczach. Przemawia p. wojewoda. To, co mówi, jest pełne ciepła i serdecznej powagi. Podkreśla zasługi społeczne i literackie działaczki wileńskiej. Pani Romer-Ochenkowska dziękuje ze zwykłą sobie bezpośredniością.

Co do mnie, jestem już tak wzruszona, że zaczynam szukać chustki do nosa. Dopiero uświadomienie sobie faktu, że p. Helena jest teraz „kawalerem“, rozjaśnia mój horyzont uczuciowy. Lecę rzucić się jej w objęcia. Przyjmuje to bardzo serdecznie. Czuję, że nie mam żalu, iż nazwała mnie w swoim feljetonie „bébé literackim“, co mię zmartwiło głęboko, przynajmniej na dwie godziny.

Wszyscy tak ściskają panią Helenę (t. j., chciałam powiedzieć, „wszystkie“), że czuję, jak wzrasta we mnie chęć otrzymania również orderu. Naturalnie, nie mogę się powstrzymać od zakomunikowania tego życzenia bliżej stojącym osobom.

— Bardzo chwalebny zamiar — kiwa głową biskup Bandurski. — Należy jednak trochę poczekać.

— Boże mój! pocóż pani order? — gorszy się ktoś ze znajomych.

— A pan ma przecież?...

— No, więc cóż z tego? I ani trochę nie czuję się szczęśliwszy.

— E! To niech pan zwróci — mówię oburzona. — Poto przecie daje się order, żeby zrobić komuś przyjemność.

Po tej wymianie zdań wylewamy się przez drzwi na szerokie schody wojewódzkie i udekorowana p. Helena jedzie w jednej z mną dorożce na drugą uroczystość.

Magistrat stanął na głowie, żeby było, jak należy. Doprawdy, jeżeli wewnątrz czuło się jakie zapachy — to tylko przyjemne. Na schodach stały kwiaty i z zadowoleniem spoglądałam, jak jedna z duchownych osób zagarnęła szeroką połą mały wazonik, unosząc go ze sobą, co wnet pośpieszył naprawić któryś z gospodarzy gmachu.

Nie! doprawdy niepodobna było nie zarzucić gościnności p. prezydenta. A jego miły uśmiech, z jakim witał gości, mimowoli rozjaśniał twarze najczarniejszych hipochondryków.

I tu sala udekorowana dywanami i zielenią. Duży stół dla prezydium. Mikrofon. Teraz p. Illakowiczówna, spokojna, jak zawsze, zasiada w dużym fotelu naprzeciw prezydjalnego stołu. Przemówienia. Mówi p. Folejewski, prof. Zdziechowski, prezes Związ-



Kazimiera Illakowiczówna.

ku Literatów i p. Hulewicz. Potem następuje wręczenie nagrody laureatce i długo niemilkające oklaski. Ale poetka pragnie również przemówić. Wstaje. Idzie w stronę mikrofonu. Zamieniam się cała w uwagę, bo kocham Hłakowiczównę, jak całe nasze Wilno.

Podczas jej przemówienia oddycham szybciej, wzruszona tem, że oto wielka poetka osłania swoje uczucia formą żartobliwą. Przecież człowiek czasem wstydy się wielkich słów i rzeczy najdelikatniejsze przemycza pod osłoną dowcipu.

— Kochana — myślę — kochana, że tak właśnie mówi. Że nie inaczej... Że nie robi wielkości, „ciężkiej“ sztuki, od której mdłości człowieka ogarniają... Brr...

A „kochana“ właśnie oznajmia o swoim zawstydzeniu wobec tej nagrody... Że nie czuje się godna, bo tworząc swoje dzieła, miała na celu tylko własne zadowolenie.

Dowiaduję się, że tworzy łatwo.

— Ona się uśmiecha... napewno, kiedy pisze! — myślę rozradowana.

— To tak, jakby wzięto jakiegoś żuka z lasu, jakąś purchawkę, udekorowano i dano na wystawę... tak za nie... Więc radabym się schować w mysia dziurę — mówi Hłakowiczówna.

Rozradowanie moje rośnie. I już widzę zdziwionego żuczka na aksamitnej poduszce, z błękitną kokardą, wśród palm wileńskich. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, ale obecność p. wojewody działa na mnie uśmierzająco.

— Zawsze myślałam o innych: „prawdziwi poeci“, w odróżnieniu od siebie — wyznaje dalej Hłakowiczówna.

Dopiero parę lat temu w Wilnie dowiedziała się, że przypadkiem weszła do historii literatury. Zdziwił ją wtedy już hołd Wilna i poruszył. A teraz tembardziej.

Tu poetka mówi o swojej wdzięczności. List prezydenta Folejewskiego trafił w samą porę, aby złagodzić to uczucie osamotnienia, jakie ją ogarniało czasami i zrealizować marzenie o wypoczynku, który był jej zalecony przez lekarzy.

— Od swojego miasta nie wstyd przyjąć nagrodę — mówi ze ślicznym uśmiechem. — Dziękuję wam, drodzy, kochani — kończy, wdzięcznie przechylając głowę — i obiecuję, że teraz będę pisała... naprawdę... na serjo...

Huragan oklasków.

Pan Folejewski zaprasza na śniadanie. Idziemy. Literaci mają zasiąść w uprzywilejowanym pokoju przy udekorowanym stole, ale tam się robi taki tłok, że młodszy robią wtył zwrot i oto idziemy szukać sobie mniej zaszczytnego miejsca. Znajdujemy je w ostatnim, sklepionym pokoju z dużymi oknami i obfitością małych stolików. Zestawiamy stoliki. Panowie z gorliwością, godną lepszej sprawy, rzucają się w kierunku butelek.

Robi się radosne zamieszanie. Dymią wesołe opa-

ry. Gwar ściąga do naszego pokoju radnych miasta. Są i mniejszości narodowe. Mają miny życzliwe i zagładają również do butelki, bo wszyscy są rodzaju męskiego. Nastrój jest tak pełen życzliwości, że przedstawiciele wrogich partyj zaczynają wznosić toasty na cześć swoich politycznych przeciwników. Swawolny zamęt unosi się nad głowami i zwabia do naszego pokoju samą Hłakowiczównę z prezydentem.

Wezuvjusz entuzjazmu. Grzmot pieśni:

— Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam!...

— ... Jeszcze raz, jeszcze raz... niech żyje... żyje nam!

Laureatka ma oczy promieniejące. Jest tak otoczona, że przedostać się do niej nie sposób.

Pan Folejewski z rozwianym włosom na głowie jest bardzo dumny z całego rozgardjaszu.

Uważamy, iż zasługuje na to, aby go uczcić...

A więc...

— Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam!...

Nie mam już więcej sił, żeby się cieszyć. Jestem, jak przepelniona radością czara.

Ulatniam się więc pocichutku, zabierając ze sobą rozkołysane i niespokojne serce.

## Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

JEDEN Z OSTATNICH

*Wspomnienie pośmiertne, poświęcone pamięci Józefa Śliwińskiego.*

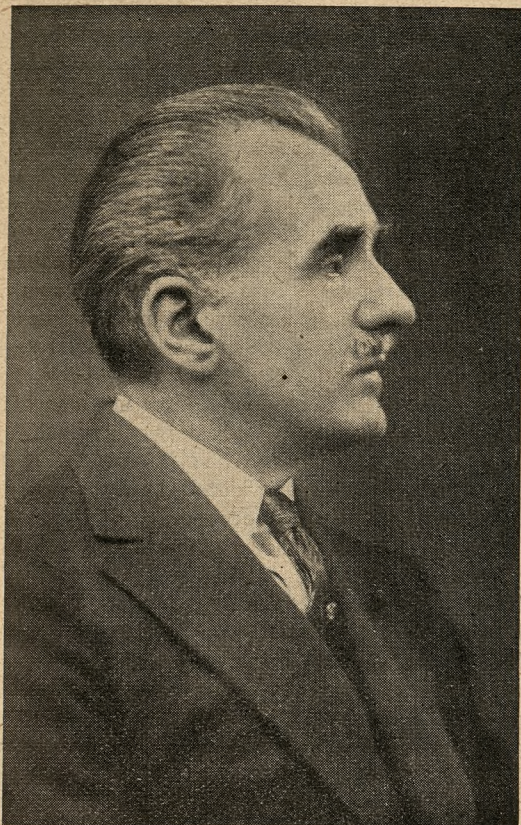
Romantyzm w muzyce przedłużył się ponad wszystkie dziedziny, które występowały po nim, jako współczesność, żył swoim odrębnym życiem w odtwórczości romantycznego fortepianu i żyje jeszcze w recitalu, poświęconym Chopinowi.

Recital z programem Chopina ma charakter odrębny od wszystkich innych, a sala koncertowa wytwarza wtedy nastrój uroczysty genialnej muzyki, w którą Chopin umiał tchnąć duszę narodu.

Na całym świecie, w stolicach różnych państw niezależnie od narodowości oraz interpretacji sławnych i małych pianistów, niejednokrotnie w sezonie muzycznym ukazują się programy, poświęcone Chopinowi. Ale nie każdy z tych wieczorów chopinowskich, nawet w wykonaniu wielkich pianistów, pozostaje w pamięci, jako nieprześcigniony wzór, zostawia wrażenie, że tak właśnie powinno się grać Chopina.

Takim idealnym jego odtwórcą był Józef Śliwiński. W muzyce chopinowskiej Śliwińskiego „tempo rubato“ było odgłosem nierównego rytmu jego serca, które każdym tonem przejmowało się nanowo, jakby te nuty, znane dobrze od pół wieku bez mała, były zawsze nowym cudownym objawieniem.

Świetny pianista w monografii Chopina będzie miał niewątpliwie swoją kartę, jako jeden z tych, którzy przedłużyli życie geniusza w pamięci wypełnionej sali koncertowej. Publiczność była mu wierna; nie widać było wśród słuchaczy snobów, których rzadko tylko ściąga na koncert autorytet sławy zagranicznej. Ci, którzy namiętnie oklaskiwali Śliwińskiego, byli to przeważnie ludzie „cofnici“ z życia w pełnym blasku. Był w oczach tych słuchaczy wyraz zawsze tak błogi,



Ś. p. Józef Śliwiński.

jakgdyby uderzono w najtkliwszą strunę ich serca, pokazano im najlepszą kartę ich życia, pogrążono ich w kontemplacji romantycznej, dalekiej od codzienności.

Józef Śliwiński był hojny do ostatka. Dwa dni przed śmiercią miał ostatni swój recital w Filharmonji warszawskiej. Znow pełna sala, program dobrze znany. Po pierwszych tonach „Fantazji” wraca nastrój romantycznej muzyki, o której myśli się z żalem, że niezawsze będzie się jej słuchało w tym szlachetnym, wielkim, polskim stylu. Mistrz jest niedysponowany; gwałtowny kaszel wstrząsa nim niemiłosiernie. Jest chory, ale wytrwa na posterunku. Zwierzy się swoim wielbicielom poraz ostatni z największego swego ukochania: z kultu Chopina.

Gra Śliwińskiego zwalnia tempa, ale kantylena występuje w całej pełni cudownego światła, ląbodzi śpiew fortepianu Śliwińskiego zdobywa się na najpiękniejsze, nierównane frazy chopinowskie i porywa słuchaczy nieprześcignionym kunsztem stylu. Mimowoli nasuwają się refleksje o innych wielkich pianistach. Kiedy Rubinstein gra Chopina, odczuwa się niepokój, że muzyka romantyczna może być aż tak błyskotliwa, — gdy interpretacja Śliwińskiego miała w sobie coś balsamicznie kojącego. Wielki Backhaus zdobywał ostatnio siłą sonatę b-moll, gdy Śliwiński objawił ją publiczności, jako cud, zamknięty w skromnych możliwościach fortepianu, ale ogarniający brzmienie największej orkiestry świata.

Wyrazem skończonego piękna była dla Śliwińskiego muzyka Chopina, której pozostał wierny do ostatnich chwil, łączących go ze światem. Na programie ostatniego, chopinowskiego recitalu mistrza była sonata h-moll; ale na odegranie tego utworu, wymagającego wielkiego fizycznego wysiłku zabrakło artyście sił. W pamięci słuchaczy pozostanie niezapomniany czar, który promieniował w Improwizacji Fis-dur i Scherzo h-moll, w którym sztuka mistrza Śliwińskiego zabłysła poraz ostatni.

Przez dwa dni czuwali u jego łoża przyjaciele, lekarze, uczennice. Czuł się źle, dusił go brak oddechu. Ale głowę jego

zaprzątało tysiąc artystycznych projektów. Śmierć przyszła tak nagle, że nie miał czasu zdziwić się nawet, że to już koniec, i że sztuka jego wielka żyć będzie jedynie w pamięci tych, którzy go słyszeli.

Śmierć Śliwińskiego okryła żalobą polski świat muzyczny, licznych wielbicieli jego wielkiego talentu, — jednego z ostatnich odtwórców romantycznego Chopina.

*Paula Lamowa.*

Zgorą 10 lat temu stworzył Śliwiński prywatną swoją klasę w Warszawie. Był to świat sam w sobie, świat, w którym się żyło wyłącznie gorącym umiłowaniem sztuki. Józef Śliwiński nie był profesorem w pospolitem tego słowa znaczeniu. Mieć u niego lekcję nie znaczyło wyuczyć się suchych technicznych zasad: znaczyło to czerpać wpelni z jego wiedzy muzycznej i kultury duchowej. Swój czysty, bezinteresowny stosunek do sztuki pragnął zaszcześcić swoim uczniom i uczennicom, wpał w nich najistotniejsze odczucie muzyki, pojętej nie jako rzemieślnicza wirtuozjerja, ale jako najwyższy wyraz piękna duchowego, zakłętego w pełny, głęboki ton, w zrozumienie harmonji, w subtelność frazy, w szlachetność stylu.

Wyjątkowem umiłowaniem muzyki i zaletami charakteru umiał sobie zaskarbić serca uczniów, których żal głęboki towarzyszy mu po zgonie.

*Nagrodę muzyczną — państwową — na rok 1950 otrzymał  
Ludomir Różycki.*

Z rozległej twórczości Ludomira Różyckiego, obejmującej wszystkie prawie formy muzyczne, najlepiej znane szerszemu ogółowi są jego opery i balet.



*Ludomir Różycki*

Do stałego repertuaru warszawskiej opery należy wdzięczny, malowniczy, a przedewszystkiem efektowny balet „Pan Twardowski“, z przemiłym hejnałem krakowskim, głównym motywem baletu. Ponury dramat „Beatriks Cenci“ nie miał już tego powodzenia, co beztroski, niefrasobliwy muzycznie „Casanova“, którego melodyjna arja „Catone“ najlepiej utkwiała w pamięci słuchaczy. Dramatem muzycznym, na temat polski, narodowy, jest wartościowy bardzo „Bolesław Śmiały“, wystawiony jeszcze w r. 1909 we Lwowie, pierwszy utwór sceniczny, który rokował bardzo młodemu jeszcze kompozytorowi najlepszą przyszłość.

Jednakże indywidualność dramatyczna świetnego muzyka skryzystalizowała się dopiero w operze „Eros i Psyche“, w której koncepcja muzyczna, przeprowadzona przez różne okresy akcji scenicznej „Erosa“, stworzyła organicznie związaną całość, o niezaprzeczenie silnym wyrazie twórczym.

„Erosa i Psyche“ wystawiono przed kilkunastu laty we Wrocławiu, a dopiero w rok później w Warszawie, gdzie przyjęto ją z największym uznaniem.

Za ten właśnie utwór sceniczny, dający syntetyczne pojęcie o twórczości Różyckiego i jego wybitnym talencie dramatycznym, przypadła świetnemu kompozytorowi zasłużona nagroda muzyczna, w kwocie 15.000 zł.

P. L.

## Z TEATRÓW

### TEATR NARODOWY.

„Don Juan“ — sztuka w 3 aktach Tadeusza Rittnera. Reżyserja Juljusza Osterwy. Dekoracje Drabika.

„Don Juan“ należy do tych nielicznych zresztą sztuk Rittnera, które dla dobra jego literackiej opinii nie powinny nigdy być wystawiane. Język w niej kłamie głosem, a głos myślim kłamie. Don Juan Rittnerowski jest od początku do końca jednym wielkim nieporozumieniem autora ze samym sobą i z widzami.

Rittner miał dwie koncepcje Don Juana. Pierwsza — to Don Juan wieczysty, ten, który umrzeć nie może; jak Ahaswer miłości, ożywa w coraz nowych wcieleniach. Druga — to nowoczesny uwodziciel, o klinicznej wprost żarłoczności miłosnej. Otóż te dwie koncepcje autor trochę mechanicznie chciał zespolić w jednej postaci, i stało się z niemi to, co z owemi węzami w klatce. Pożarły się wzajemnie i zostały z nich tylko dwa ogony.

W te żalosne szczytki, ubrane w kostjum do konnej jazdy, nawet Osterwa nie mógł tchnąć duszy. Ciągłe czujemy, że to są kawalki płaza, które skaczą jeszcze po śmierci, doznajemy na ich widok nie wzruszenia, ale wstrętu. Jest nam tak, jakbyśmy padli ofiarą mistyfikacji.

Ten Don Juan jest zaprzeczeniem wogóle wszelkich wyobrażeń kobiety o t. zw. mężczyźnie niebezpiecznym. Nie jest ani ciekawy, ani wytworny, ani demoniczny, ani czarujący, ani porywająco-żywiolowy. Jego chwytły psychologiczne, jego rzekomo genialne posunięcia uwodzicielskie trącą metodami jarmarcznych poradników miłosnych.

Ten zawodowy spódniczkarz plecie komunały, jak każdy salonowy kretyń, a zachowuje się, jak cham. Ach, te ręce w kieszeniach, kiedy mówi do kobiety, którą chce oczarować, której czujność chce uspić pozorami szacunku! Jeżeli Osterwa w ten sposób chciał podkreślić nonszalancję arystokratyczną „hrabiego“, to efekt był chybiony. Prawdziwie wytworny mężczyzna nawet w stroju do konnej jazdy nie zapomina, że wobec kobiety, którą kocha, obowiązuje go zawsze Wersal, nie zaś kordegarda.

Niestety, ten nowoczesny Don Juan nie posiada nawet najskromniejszych kwalifikacyj na gentlemana, bo obcą mu jest elementarna zasada t. zw. „człowieka honoru“, obowiązująca mężczyznę do jaknajdalej posuniętej dyskrecji wobec kobiety. Przeciwnie, jego ulubionem zajęciem jest zwierzanie się ze swych zwycięstw przed swoim rządcą i sekretarzem, który nie ma nic pilniejszego, jak powtarzać szczegóły tych awanturek miłosnych własnej żonie. W ten sposób wytwarza się „złoty łańcuch“ płotek, który wreszcie dusi samego „bohatera“.

Jesteśmy zasadniczo przeciwnikami dyletantyzmu, jednak nadmierna specjalizacja i fachowe wyrobienie nowoczesnego Don Juana budzi w nas poważne wątpliwości i zastrzeżenia. Niewątpliwie mamy do czynienia z erotomanją, graniczącą z obłędem. Niejeden lekarz - psychiatra ma napewno takiego pacjenta, któremu się zdaje, że jest Don Juanem, i nie ma innej rady, tylko wziąć ananasa pod klucz. Ale nikt takiego bubka nie bierze na serjo, a jeżeli nawet pisze o nim sztukę, to raczej groteskę w stylu Freuda.

Rzecz ciekawa: Rittner, który zazwyczaj do swoich bohaterów przystępuje z genialną finezją podpatrywacza ludzkich dusz, który demaskuje z bezwzględnością inkwizytora hypokryzję i snobizm, tutaj chciał otoczyć aureolą wiekuistości i fatalności coś, co jest do szpiku kości fałszem, pozą, papierem. I to się na nim zemściło. Zamiast apoteozy, stworzył parodię. Pogrzebał Don Juana na zawsze.

Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej niesmacznego, niż scena, w której hrabia „na żarty“ oświadcza się czternastoletniej córceczce ogrodnika? To nadużywanie dobrej wiary dziecka ma w sobie coś bardziej przeciwnego naturze, coś bardziej wołającego o pomstę do nieba, niż wszystkie zbrodnie legendarnego Don Juana. I takie to „metody pedagogiczne“ demonstruje nasz „Teatr Narodowy“! Jakże prędko ten przedwojenny „bohater pleci“ stał się anachronizmem! Mam wrażenie, że gdyby ktoś miał dziki pomysł zagrania tej sztuki dla młodzieży — to dzisiejsza młodzież, nastawiona do życia raczej barcersko i sportowo, wygwizdałaby ją bez miłosierdzia.

Obsada ról w takiej sztuce jest rzeczą trudną i niewdzięczną. Osterwa w szlachetnym zamiarze wydobycia silnych akcentów prawdopodobieństwa ze sztucznego homonculus starał się być sobą, co mu się niezawsze udawało. Świetnym był Justjan w roli sekretarza. Halska, jako upokorzona kasztelanka, była dumna i nieszczerą. Gorczyńska była najlepsza tam, gdzie autor kazał jej być mieszczką „z dobrego domu“. Ankwiczówna miała wygląd nieszczęśliwy i grała, jak za karę.

Dekoracje Drabika pomysłowe, ale zanadto przestrzenne, jak na sztukę tak bardzo kameralną, a nawet, ściślej się wyrażając — alkowianą. Przecież zaczadzone dorem miłosnym parry już na pierwszym przedstawieniu powinny były dostać fluksji od przeciągów. Może to wpłynęłoby na szybsze zejście sztuki z repertuaru.

S. P. O.

### TEATR MAŁY.

„Związek niedobry“ (Misalliance) — komedia w 3 aktach Bernarda Shaw, przekład Florjana Sobieniowskiego. Reżyserja Arnolda Szyfmana, dekoracje Karola Frycza.

Podobno genjusze wyprzedzają ludzkość. Jeżeli jedynie pod tym kątem widzenia mamy oceniać Shaw'a, to jest on genjuszem: jego „Związek niedobry“, napisany dwadzieścia lat temu, dziś dopiero jest współczesnym i aktualnym.

Na początku tego wieku ta groteskowa zonglerka paradokсами ludzi i słów musiała się wydać nawet w Anglii, w tym kraju gentlemanów, nie dziwiących się niczemu, skandaliczną fantasmagorją. Dziś dopiero widzimy, jak ten Shaw wszystko genialnie przeczuł: i powojenne zaostrenie się konfliktu między rodzicami a dziećmi, i rosnący kult dla siły fizycznej, i usa-



Teatr Mały: „Związek niedobry” — Bernarda Shaw.  
Stanisława Kawińska i Janina Romanówna.

modzielnienie się kobiety, i wreszcie, w najmłodszym pokoleniu młodzieży budząca się reakcję przeciw niezdrowemu erotyzmowi.

Ale w szukaniu dróg do tego nowoczesnego świata Shaw posługuje się starami, a raczej starymi metodami. Nie może obejść się bez rezonera, a tym rezonerem jest on sam, Bernard Shaw, snujący długie wstęgi tyrad z ust swoich bohaterów, jak z ust aniołów na średniowiecznych freskach. Zanim zdecyduje się na postawienie pierwszego kroku w akcji, musi nas wprzód śmiertelnie zanudzić, zagadać aż do nieprzytomności.

Takiem „wierceniem dziury w brzuchu” jest cały, trwający blisko godzinę, akt pierwszy, podczas którego aktorzy trzępią swoje role, jak stare materace. Gdyby pozwolono im cyzelować je, czyścić włosy po włosku, nastąpiłaby katastrofa śpiączki na scenie i na widowni. Wobec tego proponuję użycie elektroluksu reżyserskiego. Niech ten pochłaniacz kurzów teatralnych wchłonie to, co w sztuce Shaw’a jest próchnem i pyłem, a zostawi żywe ciało sztuki.

Dowodem deprymującego wrażenia, jakie sprawia akt pierwszy, jest zachowanie się publiczności na premierze.

Kiedy na początku aktu drugiego spada aeroplan na oranżerję i słycać za sceną brzęk tłukącego się szkła i trzask łamiących się skrzydeł samolotu, cała widownia, jak jeden mąż, a właściwie, jak jedno rozradowane dziecko, bije brawo. To jest odruch człowieka, wracającego do życia. Nareszcie coś się stało!

Teatr nie jest katedrą profesorską, ani kuźnią monologowanych paradoksów, ale poglądową szkołą życia. O tem pozwala sobie zapomnieć czasem Bernard Shaw, zasłuchany w samego siebie intelektualistyczny narecz, aby po długich godzinach hamowania akcji doganiać w szalonym tempie czas stracony.

Drugi i trzeci akt biorą rekord szybkości. Wypadki następują po sobie błyskawicznie, wydobywając z uczestników nieznaną im samym i otoczeniu możliwość. Obnaża się przed nami człowiek, niemilosierdzie odarty przez Shaw’a z hypokryzji, tego narodowego stroju anglików. Dowiadujemy się, jak wyglądają w praktycznym zastosowaniu piękne teorie o gentlemannie, enocie rodzinnej i dziewiczej skromności.

Bernard Shaw, jak każdy zawodowy satyryk, ulega zaciętrzewieniu, traci miarę zarówno w chlóstaniu swoich ziomeków, jak w apoteozowaniu ideału doskonałości, który poprostu spada z nieba, jak Deus ex machina.

Jest nim naturalnie przedstawicielka rasy obcej, jakby dla trudności zagadki — polka, akrobatka, Lina Szczepkowska, uosobienie tężyzny moralnej i fizycznej. Jak to przyjemnie

usłyszeć, że całej tej dulszczyźnie angielskiej, snobizmowi i zakłamanemu przeciwstawia Shaw prostolinijność rzekomo polskiej rasy! Coprawda, trochę niewygodnie podciągać się na taki piedestał i widzieć siebie w zamienionej roli. Dotychczas to nam zawsze stawiano za przykład anglików, szczególnie wtedy, gdy z przysłowiową anglosaską flegmą wybijali nam zęby. Kiedyż i tutaj zamieniają się role?

Berło sztuki dzierżył Samborski. Z papierowego rezonera zrobił żywy kompleks książki, człowieka, który cały swój stosunek do rzeczywistości zasuszył w bibule. Lordem w każdym calu był Stanisławski, nieposzlakowany w formach, finezyjny w opanowanej ironji. Romanówna w orgjastycznej roli Hypatji była „bestją cudownie młodą”. Modzelewska rolę akrobatki i apostołki zdrowia moralnego potraktowała z godnością i spokojem. Kawińska była dyskretną, poczciwą mieszczką, u której serce doskonale zastępowało rozum. Daczyński, jako młody historyk, robił, co mógł, żeby przekonać nas, iż nadszedł zmierzch męskości.

Dekoracje Frycza, jak zawsze, wytworne i nieszablony. Przekład Sobieniowskiego, jak zawsze, wyszukany i szablonowy. Reżyserja naopak: tam, gdzie autor pełnie żółtym krokiem, dialog uderza w galop; gdzie akcja ewaluje, nakładają jej munsztuk. Tak, niestety, trzeba poprawiać „genjuszów paradoksu”.

S. P. O.

## Kobieta w świecie i w domu

### DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE STRAJKU SZKOLNEGO.

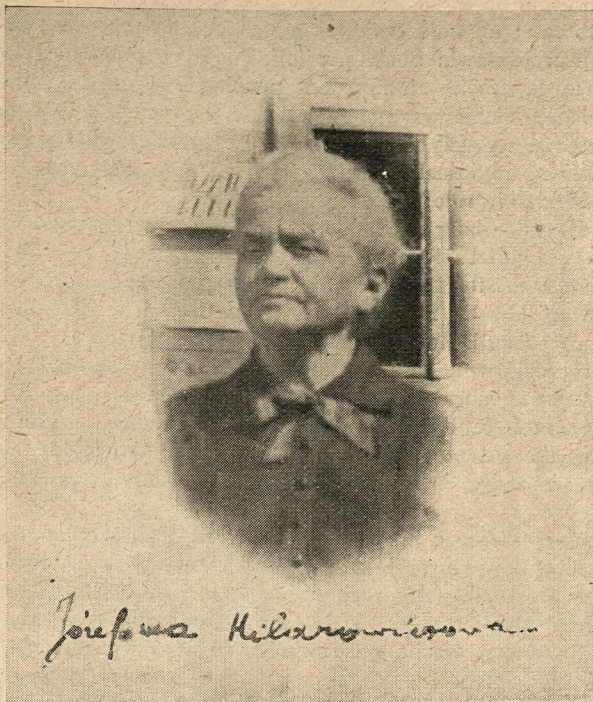
W celu uczczenia 25-tej rocznicy strajku szkolnego, pierwszego od wielu lat zorganizowanego protestu przeciwko uciskowi rządów rosyjskich w Polsce, odbył się w ubiegłym tygodniu w stolicy nadzwyczajny zjazd nauczycielstwa. Inicjatorami jego były związki zawodowe nauczycielstwa szkół średnich i szkół powszechnych.

Zjazd rozpoczęła uroczysta akademja, na którą, prócz uczestników zjazdu, przybyli przedstawiciele rządu i ciał ustawodawczych. Wygłoszono referaty o dziejach i znaczeniu strajku szkolnego, poczem nastąpiła część koncertowa. Po południu odbyły się obrady zjazdu z referatami o współczesnym polskim szkolnictwie prywatnym, o szkole średniej i zadaniach zawodowych organizacyj nauczycielskich.

Zarówno w akademji, jak i w obradach zaznaczył się liczny i wydatny udział kobiet, których nazwiska znane są zaszczytnie w pracy pedagogicznej i działalności społecznej. W skład prezydjum zjazdu weszła pierwsza kobieta-profesor uniwersytetu, dr. Helena Wilman-Grabowska, oraz panie M. Gomułicka, J. Jahołkowska, Z. Kruszewska, M. Łopuska, prof. H. Radlińska, N. Samotyhowa, St. Sempołowska i Wł. Weychert-Szymanowska.

Znaczna część tych uczestniczek zjazdu brała osobisty, gorący udział w walce o szkołę polską i ogląda dziś w odrodzonej ojczyźnie owoce swojej pracy inne, które jak jedna z najstarszych i najzasłużeńszych działaczek szkoły i ruchu oświatowego w Polsce, Marja Dzierżanowska, nie doczekały wolności, pozostaną nazawsze we wdzięcznej pamięci polskiego społeczeństwa.

W walce o szkołę polską i polską oświatę w okresie najgorszego ucisku kobieta zdobyła sobie chlubną kartę.



P. Józefowa Hilarowiczowa.

70-lecie P. JÓZEFOWEJ HILAROWICZOWEJ.

P. Józefowa Hilarowiczowa, wdowa po znakomitym przyrodniku, profesorze Uniwersytetu lwowskiego, ukończyła niedawno 70-ty rok życia.

P. Hilarowiczowa była w swoim czasie jedną z pierwszych kobiet z uniwersyteckim wykształceniem w Polsce, uzyskując prawie przed 50 laty stopień bakalaureatki nauk przyrodniczych na Uniwersytecie w Genewie. Jest autorką szeregu prac naukowych z dziedziny filozofji i pedagogji, jak: „Szkice naukowe“, „Z teorii dociekań naukowych“, „Jędrzej Śniadecki i Herbert Spencer jako pedagogowie“, „Celowość i przyczynowość w świetle nowszych badań“, „Siły przyrody“ i t. d. Przetłumaczyła z języka francuskiego na polski książkę Toulouse'a Marchanda: „Mózg i jego czynność“. Nadto od szeregu lat rozwija działalność publicystyczną, drukując swe artykuły w „Słowie Polskim“, „Kurjerze Lwowskim“, „Kurjerze Warszawskim“, „Dniu Polskim“, „Organizacji gospodarstwa domowego“ i t. d.

Była jedną z założycielek gimnazjum żeńskiego im. J. Słowackiego we Lwowie i pierwszą przewodniczącą Komitetu budowy rzymsko-katolickiego kościoła w Lewandowie pod Lwowem (która to akcja doprowadziła do wybudowania kościoła i utworzenia nowej parafji).

Na Kongresie gospodarczego wykształcenia kobiet w Rzymie w r. 1928 był jej referat w kwestji przygotowania kobiet do zajęć domowych.

W licznych swoich artykułach propaguje zasady oparcia życia rodzinnego i społecznego na zasadach chrześcijańskich, hołdując ideom Foerстера.

#### SPROSTOWANIE.

W Nr. 11 „Bluszczu“ w art. p. Jadwigi Krawczyńskiej zakradła się omyłka. Mianowicie w cyfrze tonażu handlowo-pasażerskiego naszej floty opuszczono jedno zero. Cyfra ta powinna brzmieć: 100.000 tonn — nie zaś 10.000, co niniejszem prostujemy.

#### CZEM CHCE BYĆ NASZE DZIECKO?

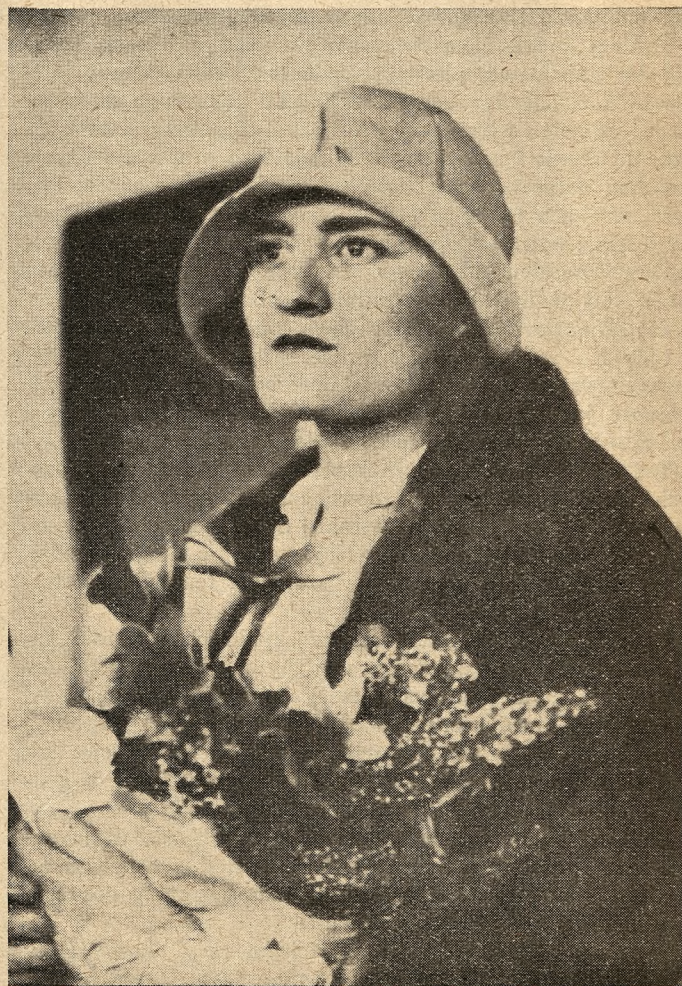
Jak donosi „Gazeta Polska“ ziemi grodzieńskiej, w państw. gimn. im. Adama Mickiewicza w Grodnie odbędzie się cykl odczytów „O wyborze zawodu“. Tematami wykładów będą: rolnictwo i leśnictwo, sądownictwo i adwokatura, medycyna, weterynarja i farmacja, wojskowość, inżynierja, teologja, administracja, pedagogja, samorząd i handel. Prelekcje prowadzić będą znani specjaliści, podając charakterystykę każdego zawodu, z uwzględnieniem potrzebnych zdolności i zamiłowań.

Inicjatywa dyrekcji gimnazjum jest doprawdy z gatunku najlepszych. Rodzice i wychowawcy, a także zawodowcy, społecznicy i ekonomiści traktują dotychczas zupełnie po naszymu sprawę wyboru zawodu przez młodzież. Rzecz, jedną z najważniejszych w życiu, odbywa się przeważnie przypadkowo; często, nawet w razie okazywania wybitnych zdolności lub zamiłowania, przeszkadza się raczej młodzieży w obrażeniu właściwej drogi, niż pomaga.

Gimnazjum grodzieńskie pierwsze chyba występuje z planową działalnością w tym zakresie. Oby za jego przykładem poszły inne uczelnie: szkoły powszechne i średnie, a także szkoły żeńskie, gdzie również ta sprawa jest zupełnie zaniedbana.

#### ZARĘCZYNY CÓRKI IL DUCE.

Córka dyktatora Włoch, dziesięcioletnia panna Eda Mussolini, zaręczyła się z hr. Geleazzo Giano, sekretarzem ambasady włoskiej przy Watykanie. Pomimo młodego wieku, signora Mussolini odbyła już dalekie podróże, zwiedzając Indie. Odznacza się ona wybitną inteligencją i niezwykłą (bardzo dziedzicznie naturalne!) energją. W piętnastym roku życia wyratowała tonącą, za co otrzymała medal z brązu od króla włoskiego i „order bohaterów“ od Instytutu Carnegiego.



Eda Mussolini.

## PRZEDWIOŚNIANE REFLEKSJE

(dokończenie)

Jeżeli budżet nasz na to pozwala, musimy się głęboko namyślić przed podjęciem takiej imprezy. Nowa barwa ścian wpływa odrazu na zmianę całego charakteru pokoju. Źle dobrana do mebli, drażni nieustannie. Przeciwnie: odpowiednio zharmonizowana, daje trwałe zadowolenie. Barwę ścian trzeba dobierać nie tylko odpowiednią do mebli, ale zgodną z naszym upodobaniem i psychiką. Niema nic bardziej drażniącego w życiu codziennym, niż nielubiana barwa lub wzór. Tedy zastanowić się trzeba nad tą sprawą poważnie i wszechstronnie.

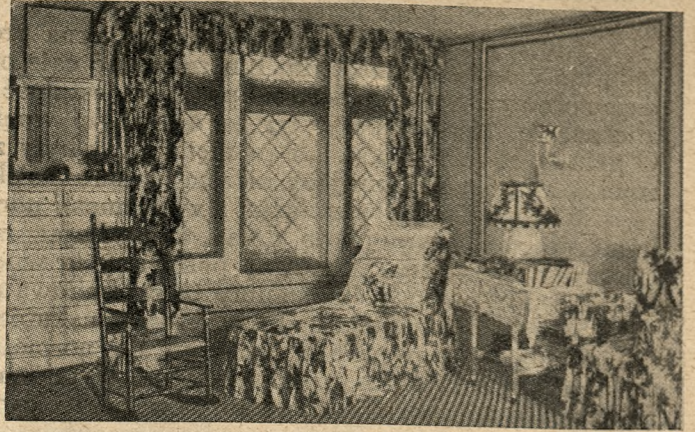
Na czystym tle meble będą wyglądały napewno niedość czysto i świeżo. I tę kwestję musimy rozpatrzyć najpierw budżetowo. A dalej, kierując się praktycznymi wskazówkami („Odnawianie mieszkania i porządku domowego”—Wydawn. „Życie Praktyczne”) i nie żałując własnej pracy i czasu, możemy zrobić dużo niewielkim kosztem.

Trzeba starannie umyć szkła na obrazach, lustrach, okna, drzwi, drobiazgi porcelanowe i kryształowe. Można również domowym sposobem wyczyścić, odświeżyć, odmalować drewniane meble, jeśli się do tego wzięć rozważnie i umiejętnie. Po wykonaniu tych robót pozostaje trudniejsza o wiele sprawa — zniszczonych pokryć meblowych. Skóra zniszczona da się jeszcze odnowić przy pomocy odpowiednich farb, ale wystające sprężyny i podarte wierzchy wymagają gruntownej naprawy i fachowej ręki. Często kosztorys przewyższa naszą zdolność płatniczą.

Można tedy załatwić tę sprawę niejako połowicznie: uszyć na miękkie meble barwne pokrowce z falbanami, stosowane w ogromnej ilości w Anglii i Ameryce. Pokój z takimi meblami ma wiele swoistego wdzięku, pogody i świeżości.

Barwnych, kwiatnych kretonów meblowych jest w handlu wielka ilość. Poza tem nadają się na ten cel nasze lniane tkaniny meblowe, mocne, w harmonijnych barwach. Jednakowe pokrycie mebli, kapy na łózkach, lub pokrycia tapczanów, obramowania okien i drzwi dają wnętrzu bardzo zharmonizowane i pełne ciepłego uroku.

Tylko, że cała trudność polega właśnie na tem niełatwym zharmonizowaniu całości. Niema u nas po-



Można uszyć na meble pokrowce z barwnego kretonu i obramować nim okna.

radni artystycznych, projekty artystów są dla szerokiej warstw niedostępne, pism i wydawnictw, traktujących o dekoracji wnętrz, mamy niewiele. Pozostaje tedy dobry osobisty smak (nad którym pracować i który stale rozwijać trzeba), pilne przeglądanie odnośnych zagranicznych wydawnictw i rady osób kompetentnych, do których gustu mamy zaufanie.

Wielką rolę w odnowionem wnętrzu grają rośliny i firanki. W okresie porządków zaczynają się ukazywać u nas pierwsze zwiastuny wiosny — bażki. Niesłychanie dekoracyjne, urocze, tanie, do czystego i świeżego wnętrza wnoszą pogodną nutę nadchodzącej wiosny, która przynosi ze sobą całe naręcza roślin i kwiatów. Wybierać je, dobierać i zapelniać nimi dom — to jedno z najmielszych zajęć każdej pani domu. Umiejętne zestawienie barw i gatunków, zharmonizowanie ich z naczyniem, w którym są umieszczone, jest wprawdzie kwestją nie tak prostą, ale przyczynia się znakomicie do podniesienia estetycznego wyglądu domu.

Oprócz roślin ciętych, są rośliny wiecznie zielone: palmy, araukarje, paprocie, asparagusy i inne, które również w znacznym stopniu ozdabiają nasze wnętrza, wymagając wzajemian za to trochę umiejętności obchodzenia się z nimi i zamilowania. Trzeba je umieszczać w pobliżu światła, ale najmądrzej jest nie zastawiać nimi okien, ze względu na konieczność ich otwierania.

Natomiast bardzo przyjemnie i ładnie mieć latem za oknem skrzynki do kwiatów, o ile okna są otwierane do wewnątrz. Taki swój własny, miniaturowy ogródek, zasiany pachnącymi kwiatami, staje się wieczorem, po pracy, źródłem ukojenia i radości. A cóż dopiero mówić o ukwieconym balkonie, lub kawałeczku własnego, kwiatnego ogródka!

Wracając do naszych wnętrz, pamiętać należy jeszcze o przyozdobieniu drzwi i okien. Drzwi niekoniecznie muszą mieć portjery, aczkolwiek są pokoje, gdzie zaciągnięte na drzwiach długie i miękkie portjery nadają wyraz przytulności, ciszy i spokoju, tak niesłychanie nam potrzebnych po dniu, pracowicie za domem spędzonym.

Natomiast firanki są wszędzie i zawsze nieodzowne. W tej dziedzinie jest tak wielka ilość rodzajów, gatunków, sposobów zakładania, że wybór nie przedstawia trudności. Fabryczne z metra, odpasowane, kolorowe, tiulowe, markizetowe. I wykintne, robione



Firanki z tiulu lub markizety nie tamują dopływu światła.

własnymi rękoma, haftowane, inkrustowane, poszywane grubą bawełną na siatce i t. p.

Można zawieszzać je z dwóch stron okna prosto, podpinając, dawać lambrekin, lub zasłaniać całe okno, dając obramowanie kolorowe. Sposobów jest ilość niezliczona, a dostosować je trzeba do całości wnętrza. O jednym należy tylko stale pamiętać: aby były założone w sposób, nietamujący niczem otwierania okien.

Wprowadzając w związku z wiosennymi porządkami pewne inowacje do domu, obmyślając różne szczegóły urządzenia, napewno potrafimy to wnętrze umilić i upiększyć, jeśli zrobimy to z zamiłowaniem.

Są domy, gdzie tego rodzaju reformy uskutecznią się jesienią, po powrocie z wakacyj do normalnego trybu życia i do życia towarzyskiego. W takich domach już z wiosną, po skończeniu okresu five'ów, zaczyna się dewastacja. Zdziera się firanki, zwija dywany, meble ubiera w okropne pokrowce, lub przykrywa byle czem. Dom, urządony tak na lato ze względów oszczędnościowych, wygląda obrzydliwie, odpychająco.

Jeżeli opuszczają go wszyscy domownicy — jest to usprawiedliwione. Jeżeli pozostaje w tem rumowisku ktokolwiek z domowników — najczęściej pan domu — to należy chociażby jeden pokój urządzać tak, ażeby mieszkaniec nie odczuwał otaczającej go pustki i brzydoty. Każdy ma prawo do mile i przyzwoicie urządzonego pokoju wówczas, kiedy pozostaje w domu, pilnując go i zarobkując, a inni członkowie rodziny korzystają z letniego wypoczynku.

I o tem w gorliwości przedwyjazdowej nie wolno zapominać żadnej praktycznej, ani oszczędnej pani domu. Pusty i nieestetyczny dom jest przygnębiający, to też nic dziwnego, że zamieszkujący go często stają się latem dezertierami.

A więc trochę tych i tym podobnych uwag na temat domowego ogniska — należy spokojnie rozważyć na przedwiośniu.

M. Dobrowolska.

## UPRAWA WARZYW KORZENIOWYCH

(c. d)

### SELERY.

Selery pod względem klimatu mają te same wymagania, co i marchew. Udają się równie dobrze w Szwecji, jak i na południu Europy. Znoszą dużo wilgoci w ziemi, byleby grunta nie były podmokłe. W lata wilgotne i mało słoneczne selery rosną nawet lepiej, niż w suche i b. słoneczne. Możemy je więc z powodzeniem uprawiać w półcieniu.

Dla dobrego rozwoju wymagają gleby zasobnej w próchnicę i bogatej w materiały odżywcze. Udają się wyśmienicie na ziemiach torfowych. Najodpowiedniejszą jednak glebą dla uprawy selerów jest ciepła, wilgotna, w starej kulturze gleba gliniasta.

W płodozmianie selery zajmują to samo miejsce, co poprzednio opisane warzywa, a więc sadzimy je po roślinach, uprawianych na oborniku. Możemy je też wysadzić, po wczesnej sałacie lub kalarepce.

gdyż sadzenie selerów można przedłużyć do początków czerwca.

Ziemia pod selery powinna być na jesieni głęboko zorana, na wiosnę — jeżeli sadzimy je wcześniej — dajemy już tylko bronę i gryf. Jeżeli zaś sadzić je będziemy po wczesnym przedplonie, dajemy płytką orkę i zaraz brony. Ponieważ selery dla swego dobrego rozwoju potrzebują sporych ilości potasu, dając więc nawożenie pomocnicze, główną uwagę zwrócimy na nawozy potasowe, które możemy stosować nawet pogłównie.

Jako normy, przyjmijmy na 1 ar.:

1) azotowe — 0,45 kg. azotu = 3 kg. saletry chilijskiej, lub sztucznej chorzowskiej 15,6 proc.;

2) fosforowe — 0,80 kwasu fosforowego = 5 kg. superfosfatu 17 proc.;

3) potasowe — 2,70 kg. tlenku potasu = 10 kg. soli potasowej kałuskiej 27 proc., lub 7 kg. soli potas. skoncentrowanej strasfurkiej.

Są to dawki ogromne w porównaniu do tych, jakie dajemy pod inne warzywa; jednak selery są jedną z najbardziej pod tym względem wymagających roślin.

Hodowlę selerów zaczynamy jaknajwcześniej, gdyż mają one długi okres wegetacyjny. Siejemy je w ciągu lutego do ciepłego inspektu, dając na okno od 3 do 4 gr. nasion, jeżeli rośliny nie będą pikowane. Jeżeli będziemy je pikować, dajemy od 6 do 7 gr. na okno. Inspekt prowadzimy w temperaturze około 15°C. W połowie marca następuje pikowanie, to jest rozsądzanie roślinek do innego inspektu — w odstępach 5 cm. X 5 cm. W grunt wysadzamy je w początkach maja. Przy sadzeniu trzeba bardzo uważać, by rośliny nie posadzić za głęboko. Sadzimy tylko po liście — głęboko posadzone rośliny słabo rosną, źle wykształcają korzenie i duży procent wypada zupełnie.

Na dużych plantacjach dajemy między roślinami odległość 40 X 40 cm., 40 X 45, lub 50 X 50 cm.

Niżej podana tabliczka wskaże nam ilość roślin, potrzebną do obsadzenia 1 ara ziemi.

Odległość	Ilość roślin na 1 ar.
40 X 40 cm.	625
40 X 45 cm.	555
40 X 50 cm.	500
40 X 60 cm.	417
50 X 50 cm.	400
50 X 60 cm.	333

Selery sadzić możemy często bardzo, jako międzyplon, np. między ogórkami, cebulą z dymki, lub wczesną kalarepką (rys. 1 i 2).

Między selerami sadzimy sałatę, która schodzi z pola wcześniej i pozwala później swobodnie rozwijać się selerom (rys. 3).

W małych, amatorskich ogródkach obsadzamy selerami zagonki w następujący sposób.

Przez środek zagony dajemy rząd ogórków, potem w odległości 20 cm. po obu stronach wysadzamy sałatę, dalej znów wczesną kalarepkę, a na samym

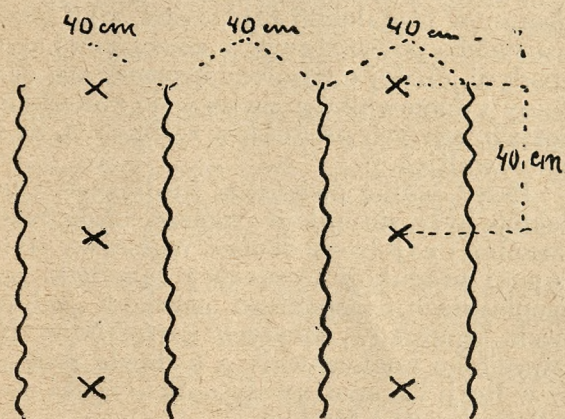


brzegu, w odległości 40 cm. roślina od roślina — selery. Sałata i kalarepka zejdą wcześniej, a później, jako plon główny, będą ogórki i selery (rys. 4).

Hodowla w czasie lata polega jedynie na oczyszczaniu plantacji z zielska i spulchnianiu ziemi w miarę potrzeby. Podlewanie w czasie suszy jest bardzo pożądane i daje doskonałe rezultaty.

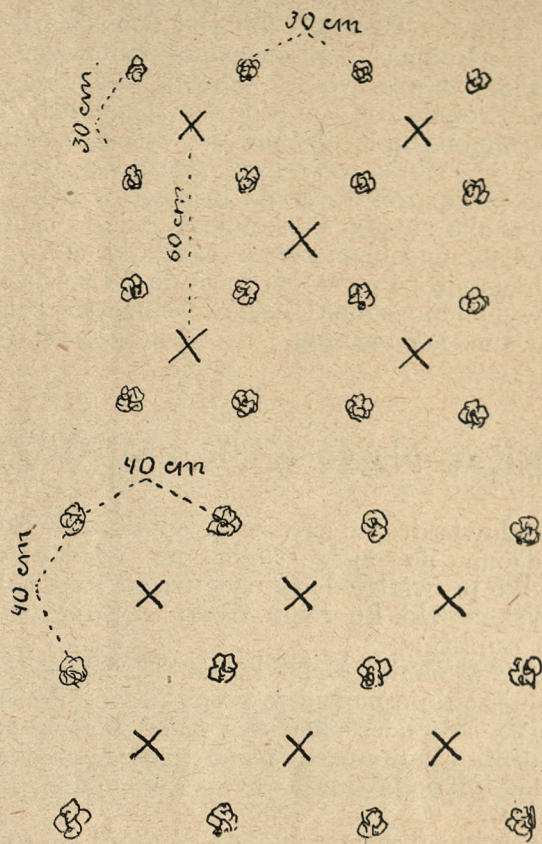
Stosowane przez niektórych ogrodników-praktyków obrywanie liści w sierpniu jest nietylko bezcelowe, ale przeciwnie osłabia rośliny, boć przecie liście — to ta część rośliny, przy której pomocy gromadzi ona pokarmy.

Bezcelowe i szkodliwe jest również zalecane na sierpień obrywanie części bocznych korzeni, gdyż tu



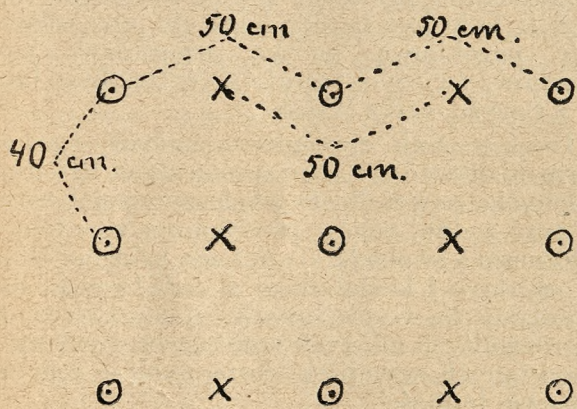
X SELERY } CEBULA Z DYMKI

RYS 1.



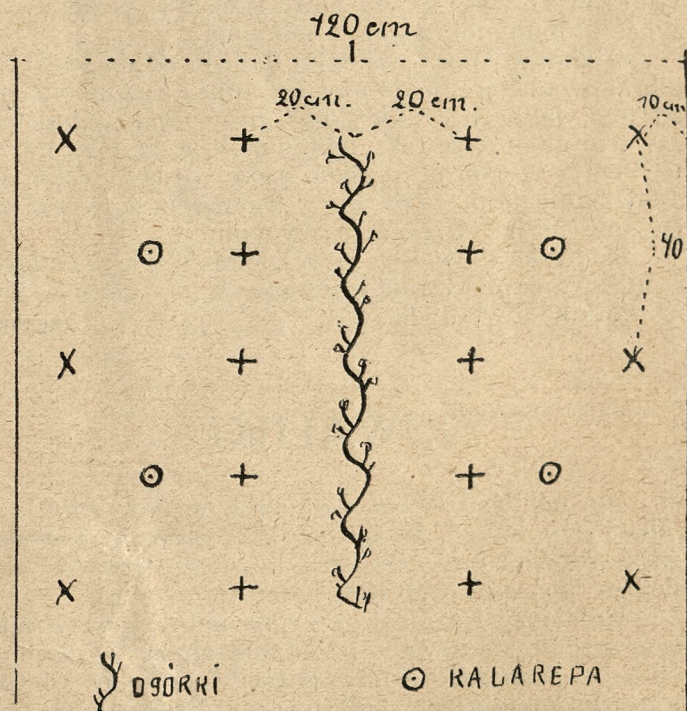
X SELERY. SALATA.

RYS 3.



X SELERY O KALAREPA

RYS 2.



OGÓRKI O KALAREPA  
+ SALATA X SELERY

RYS 4.

również pozbawiamy roślinę organów, potrzebnych jej do życia i gromadzenia zapasów.

Zbiór jesienią opóźniamy do ostatnich dni października. Dojrzewanie poznajemy po żółknięciu zewnętrznych liści.

Wykopane selery oczyszczamy z części bocznych korzeni, liście usuwamy ręcznie, pozostawiając parę małych środkowych, tak zwane „serce”.

Oprócz selerów korzeniowych hodujemy jeszcze selery naciowe. Hodowla ich jest u nas bardzo mało rozpowszechniona — przeważnie amatorska.

Selery te uprawiamy zupełnie tak samo, jak korzeniowe, rozsadzamy je tylko na zagonkach rzadziej, żeby następnie móc obsypać je wysoko ziemią. Gdy nać jest już silnie rozwinięta, począwszy od połowy sierpnia, związujemy ogonki liściowe w pęk i osypujemy wysoko ziemią. Pozbawione światła ogonki tracą zieleń, a tem samem gorycz, czyli, jak mówią ogrodnicy „biela się“. Proces ten trwa do 3-ch tygodni, potem wybielone ogonki liściowe służą na sałatę lub odgotowane, jak szparagi.

Zofja Wróblewska.

## OPIEKA NAD KURAMI W ZIMIE

Hodowla drobiu zawsze się opłaca, choćby nawet prowadzona na małą skalę, na własny użytek, jeśli tylko prowadzi się ją choć trochę racjonalnie.

Wskazówki ku temu dadzą się ująć w następujące punkty:

1) I w zimie trzeba kurom trochę ruchu, więc w cieplejsze dni można je wypuszczać z kurnika na podwórze, gdy się odgarnęło śnieg z tego miejsca; a w kurniku samym sypać na podłogę trochę plew, i ziarna, im podawane, wsypać w plewy, by tam grzebały;

2) w kurniku w większej, płytkiej skrzynce dawać piasku z miałem wapna i domieszką popiołu drzewnego, oraz pamiętać o czystej wodzie do picia;

3) karma z rana: mieszanka śrutowanego owsa, jęczmienia i, jeśli można, trochę maki rybiej; w południe: gotowane ziemniaki z ospą; na wieczór: ziarna jęczmienia i kukurydzy; prócz tego podaje się odpadki z kuchni, pokrajaną zieleninę, na sznurze zawieszony burak, by do niego skakały, suchą koniczynę, drobno pokrajaną i moczoną;

4) zimowa pora najlepiej nadaje się do tego, by wybrakować stare, mało-nieśne sztuki i zastanowić się nad tem, jaką rasę należałoby prowadzić; pamiętać przy tem należy, że rasy lekkie nadają się tam, gdzie kury mają wygon do ogrodu, sadu, a rasy ciężkie są odpowiednie tam, gdzie kury trzymane są w zagrodzie, nie mając większego wygonu.

Kontrola nieśności, przy pomocy pierścionków na nóżki i zapisywania zniesionych jaj ułatwia dobór sztuk hodowlanych.

J. Neyman.

## NOWALIJKI

Nie mieliśmy właściwej zimy w tym roku, nie widzieliśmy lodu, ani śniegu. W rezultacie nietylko przez grudzień i styczeń lecz nawet do końca lutego mieliśmy na rynku obfitość wszelkich jarzyn.

Kalafjory i szpinak, zwykle w tym późnozimowym sezonie stanowiące przedmiot zbytku, dostępny tylko najzamożniejszym, mogą figurować dotąd w najskromniejszych jadłospisach. Brukselka i salselja — bardziej znana pod nazwą szparagów zimowych — są dotąd zupełnie tanie. Wszelkie gatunki zielonych sałat zimowych, a więc endywię i eskarolkę, sałatę rzymską i roszonek, a nawet wykwin-

tną w smaku i do niedawna wielką rzadkość stanowiącą cykorję bieloną („Whitloof“) — można było dostać nietylko w sklepach gastronomicznych, lecz po wszystkich straganach hal i rynków.

Jednak ciepła, łagodna zima miała i zły wpływ na stan rynku jarzynowego; nie wprowadziła nie zmarzło, natomiast wiele, wiele rzeczy pogniło, szczególnie wiele zielonych sałat; jest ich coraz mniej i stają się coraz droższe. Przytem każdy produkt, długo konserwowany, a szczególnie każda jarzyna, przechowywana w piwnicy, czy też dołowana, traci swój smak wykwinny, nabiera zapachu ziemi i pleśni, ma coraz mniej z promieni słońca czerpanych witamin — zycianów, niezbędnych dla prawidłowego odżywiania ludzi.

To też z nastaniem pierwszych dni słonecznych — zwiastunów niedalekiej już wiosny, myśl każdego zjadacza chleba powszedniego, a szczególnie myśl każdej gospodyni, dbałej o zdrowe i urozmaicone odżywianie rodziny i domowników, zwraca się z utęsknieniem do świeżych, nowych produktów roślinnych, do tak zwanych nowalijek.

Przed wojną światową, kiedy opał i praca rąk ludzkich były stosunkowo tańsze, „Kongresówka“, a szczególnie najbliższe okolice Warszawy słynęły z olbrzymiej produkcji wczesnych jarzynek, pędzonych w cieplarniach i inspektach, ogórków i sałatek, rzodkiewek, szparagów, młodych kartofelków. Nowalijki te zwycięsko konkurowały z hodowlą tych przysmaków w Rosji i zaopatrywały obficie rynki obu jej stolic: Petersburga i Moskwy.

Hodowla ich i handel niemi przynosiły tak duże korzyści, że pozostały towar, sprzedawany na rynku miejscowym, w Warszawie i większych miastach prowincjonalnych, zjawiał się bardzo wcześnie i ceny jego były dostępne dla szerszego ogółu. Czego nie wyhodowano w kraju, to przychodziło z zagranicy; cła były minimalne, przesyłka pocztą ułatwiona, i wcale nie trzeba było być bardzo bogatym, aby sobie sprowadzić parokilową paczkę szparagów, kardów, karczochów, świeżych ogórków w grudniu lub styczniu z Paryża, czy z Włoch.

Teraz stosunki zupełnie się zmieniły i nie wolno nad tem ubolewać. Brak przysmaczków lub trudność ich zdobycia, nawet dla największych smakoszy nie może grać żadnej roli w porównaniu ze zdobyczami niezależności i swobody. To też nie żałujmy styczniowych ogórków i kartofelków z nad Jasnego Brzegu, ale starajmy się wyprodukować jaknajwięcej i najtaniej rozmaitych młodych rzodkiewek i sałatek, szpinaków i innych nowalijek, dostępnych w cenie szerokim masom ludności.

Wysokie cła ochronne nie dadzą nam korzystać ze wspaniałych pomidorów, przywożonych z Włoch, zielonych szparagów, pochodzących z francuskiej Riwijery i olbrzymich duńskich kalafjorów, nęcących oko na wystawach sklepów gastronomicznych. Musimy natomiast jaknajlepiej, jaknajdokładniej wykorzystać i zużytkować te wczesne, wiosenne jarzyny, których nasi producenci powinni wkrótce dostarczyć na rynki.

Bo czy wiosna będzie wczesna, czy spóźniona, czy wogóle zima obecna skończy się bez mrozów, czy czekają nas jeszcze zawieje śnieżne i szarugi w marcu, a nawet w kwietniu — słońce już swoje zrobiło: już w cieplarniach i inspektach wykielkowały i rosą smakowite zbiorniki witamin — sałatki i rzodkiewki; już

się krzewią bujne, kędzierzawe listki słodkich karotek, już rozkładają swe długie pędy ogórki, a w zacisznych, na południe wystawionych kątach ogrodów, matami na noc osłonięte, gotowe są do zbioru wiosennego szpinaku i szczaw, szczypiorek i koperek.

Do nas, gospodyń należy tylko wszystkie te młode roślinki wprowadzić do naszych jadalnisz, wszystkie, nie wyłączając nawet skromnej rzeżuchy, którą każda u siebie na oknie stale siać może, szczypioru, cebuli i zielonych listków pietruszki, łatwych do pędzenia bez żadnych specjalnych urządzeń w zwykłej skrzyneczce od cygar, lub owoców suszonych.

Od tych skromnych trzech zieleninek zaczęły też dzisiajszą moją pogawędkę.

Rzeżuchę możemy siać na kawałkach filcu lub kosmatego barchanu, skrapianych często wodą o pokojowej temperaturze. W miarę, jak się zazieleni, ścinamy ją ostrożnie nożyczkami i używamy do zaostrożenia smaku i do ozdoby zimowych salatek i surówek, do przybrania półmisek, oraz jako wykwintny dodatek do zawsze nieco mdłych w smaku mięs białych. Szczególniej przy stole wielkanocnym zielona rzeżucha jest niezastąpionym dodatkiem do jaj na twardo, do zimnej cielęciny, a nawet do gotowanej szynki.

Znamy wszyscy skłonność cebuli do wczesnego wypędzania łodygi i liści. Tę skłonność może każda zapobiegliwa gospodyni wykorzystać, hodując sobie zielony szczypiorek, tak cenny do przyprawy śledzi, a nawet do chleba z masłem lub białego sera.

Robimy niedużą gałkę z miękkich szmat lnianych, lub lepiej jeszcze z odpadków lnu (w mieście nie zawsze łatwych do nabycia): do niej wokoło przyzywamy grubymi niemi główki cebuli, okazujące chęć do rośnięcia. Przymocowujemy grubszy sznurek i wieszamy taką kulę w kuchni, przed oknem. Po tygodniu już zwykle możemy rozpocząć zbiór zielonych, smakowitych łodyg, zbiór, który trwa tak długo, aż cebule nie zgniją, poczem zastępujemy je nowymi.

Używając do potraw pietruszki korzeniowej, ucinamy jej wierzchołki, na palec grubości, i sadzimy je w skrzyneczce, napełnionej czystym piaskiem. Piasek ten utrzymujemy wilgotno, podlewając wodą o pokojowej temperaturze. Zielone listki pietruszki ścinamy w miarę potrzeby. Dawniej smażyło się na tłuszczu i używano tylko do dekoracji pasztecików, lub na zielono dekorowano niemi półmiski; obecnie starajmy się je użyć do zjedzenia w formie dodatku do salatek, do zup, do sosów, do wszelkich farszów, wykorzystując ich świeżość, aromat i zawartość cennych witamin, które giną po ugotowaniu lub usmażeniu.

Szpinak zielony mieliśmy w tym roku przez całą zimę, i to świeżuchny, nietknięty mrozem. Nie mniej jednak powitamy radośnie szpinak młody, delikatny w smaku, który nam wiosna przyniesie. Do szpinaku należy szczególnie ściśle stosować nowe metody gotowania jarzyn, aby nie stracić z ich części pożywnych. Przedewszystkiem nie blanżerować go, nie odlewać wody, w której się gotuje, a zatem gotować go w możliwie małej ilości tej wody. Potem nie siekać, nie fasować przez różne sita, co go wkońcu doprowadza do stanu papki. We Francji i w Anglii jedzą młody szpinak w całości, lub pokrajany w dosyć grubą kostkę, podduszony prędko ze świeżym masłem — zupełnie bez wody, gdyż młody szpinak jest tak soczysty, że sam da dosyć płynu. Czy go dalej

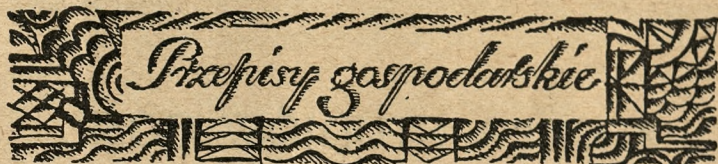
zaprawiać mąką i śmietaną, czy słodką śmietanką, czy dodawać doń cukru, czy tylko soli — są to rzeczy drugorzędne i można je pozostawić gustowi poszczególnych gospodyń, chodzi o to, aby nie stracić nic z jego pożywnych wartości.

Młody szczaw, powszechnie ceniony, jako materiał na zupę, stanowi wyborną wiosenną jarzynę, przygotowany tak samo, jak szpinak, lub do niego dodany.

Dalej młodziuchna pokrzywa-żygawka i listki młodej rzodkiewki inspektowej, zwykle u nas wyrzucane do kubła z odpadkami, są cennym materiałem na zielone zupy i na jarzynkę zieloną, głównie jednak jako dodatek do szczawiu i szpinaku. Doktor Tarnawski z Kossowa — największa powaga co do odżywiania roślinnego — radzi je także krajać w kostkę, jak szpinak; mnie jednak osobiście lepiej smakują, niekoniecznie fasowane przez sito, lecz chociaż przepuszczone przez maszynkę do mięsa.

(d. c. n.)

Pani Elżbieta.



#### RISOTTO POSTNE.

Sporą cebulę usiekać drobno i zasmażyć w rondelku z trzema łyżkami dobrej, świeżej oliwy. Wsypać na to trzydzieści pięć deka ryżu, wymięszać dokładnie i smażyć wolno, aż ryż się stanie blade-żółty — koloru słomy. Wtedy zacząć podlewać po kilka łyżek osolonej wody i dusić wolno na brzegu blachy, lub też zalać podwójną objętością wody, dobrze osolonej, przykryć pokrywką i wstawić w miernie gorący piec, aby się wypiekl. Piętnaście deka pieczarek, starannie otartych na sucho z piasku, wypłukanych w zimnej wodzie i znowu starannie otartych miękką ściereczką, pokrajać w cienkie płatki, przesmażyć w sporej łyżce masła, wymięszać z ryżem.

Jeśli mamy resztki jakiegokolwiek ryby pieczonej, smażonej lub gotowanej, obrać ją starannie z ości, połupać na drobne kawałki i również zmieszać z ryżem. Nakoniec posiekać w drobnuchną kostkę dziesięć deka tyłzyckiego sera bez skórki i zmieszać z ryżem przed samem podaniem, aby się tylko zagrzał, lecz nie rozpuścił. Podawać bardzo gorące w metalowym rondelku lub nelsonce. Oddzielnie w sosierce dać czysty sos pomidorowy.

Można takie risotto podać bez ryby, tylko z pieczarkami i serem i wymięszać w rondelku z sosem pomidorowym, zamiast podawania go oddzielnie.

#### KOTLETY CIELEŃCE Z MÓZDŻKIEM.

Sześć bardzo cienko pokrajanych kotletów cielęcych z kostkami zbić mocno, nie panjerować, a tylko posypać mąką i usmażyć na rumiano na maśle lub smalcu. Solić dopiero po usmażeniu, aby mięso nie szcerwieniło. Spory mózdzek wymoczyć dobrze, obrać z krwawej błonki, ugotować w wodzie osolonej i zakwaszonej octem; utrzyć go na miseczce na masę, dodać piętnaście deka drobno usiekanej, przerastalej szynki gotowanej, dziesięć deka ostrego sera utartego, jedno jajko surowe.

Wyrobić doskonale tę masę, osolić, popieprzyć. Pokryć ją grubo kotlety, ułożyć je na dużej patelni lub brytfannie

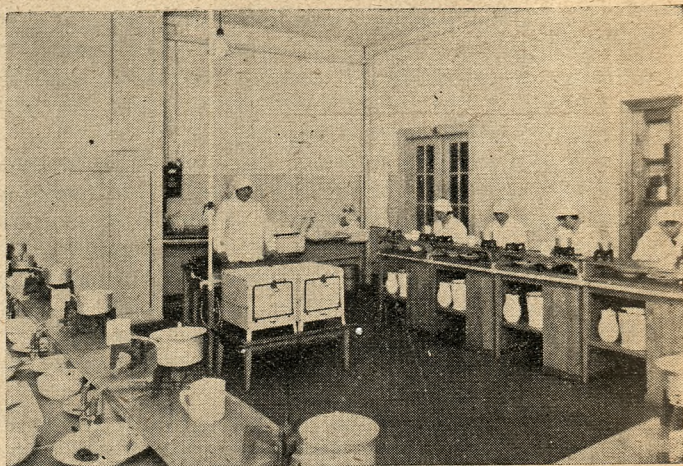
i wsunąć na kilka minut do pieca, aby się ładnie zrumieniły z pokrytej strony. Na masło, pozostałe od smażenia, zrobić sos rumiany cytrynowy lub kaparowy. Kotlety ułożyć na półmisku, przybrać odgotowanym makaronem, purée kartoflanem, lub zielonym groszkiem. Sos podać oddzielnie w sosjerce.

#### SZYŃKA W NALEŚNIKACH.

Z dwóch jaj, pół szklanki mąki, soli i wody (nie mleka) upiec dziesięć do dwunastu cięnujących naleśników. Przygotować tyleż plasterków przeraśniętej, gotowanej szynki. Na każdym naleśniku położyć plasterek szynki, zwinać w rolkę, nie zawijając brzegów, jak na paszteciki, lecz pozostawiając rolki długie. Utarzać naleśniki w rozbitym jajku, potem w bułeczce tartej, zmieszanej po połowie z mąką, i natychmiast smażyć na bardzo obfitym szmalcu.

Utrzeć spory korzonek chrzanu, posypać cukrem i solą, skropić mocno octem (zrobić to wszystko na parę godzin przed pieczeniem naleśników). Łyżkę mąki zasmażyć na białą z łyżką masła, rozprowadzić zimną wodą lub rosółem na bardzo gęsty sos, zagotować raz, zaprawić kwaterką śmietany, lub dwoma żółtkami, zagrać jeszcze razem, aby sos zgęstniał, osolić do smaku, dodać odrobinę białego pieprzu. Ułożyć naleśniki wokół półmiska, w środek wlać sos i natychmiast, gorąco podawać.

Pani Elżbieta.



Nauka gotowania przy oddzielnych kuchenkach.

Przewidywane są również wykłady dla żon rzemieślników i robotnic, ażeby odżywianie ich nie składało się z wędlin, kawy i chleba, jak to przeważnie ma miejsce obecnie.

Marja Ankiwiczowa.

## Z KOŁA STUDJÓW GOSP. DOMOWEGO

Zrzeszenie warszawskich pań-gospodyń, p. n. K. S. G. D., prowadzi 5-miesięczne kursy dla pań, nieumiejących gotować.

Kursy te obejmują również porządki i wszystkie prace, związane z gospodarstwem domowym, uwzględniając racjonalną kuchnię oraz zasady naukowej organizacji pracy.

Nauka gotowania odbywa się na oddzielnych stolikach - kuchenkach. Każda lekcja gotowania jest poprzedzona wykładem z dietetyki i towaroznawstwa, fizyki, higieny. Nauka na kursach odbywa się 5 razy tygodniowo — od 5 do 9-ej wiecz., przy czym wykłady teoretyczne od 5 do 6-ej, a praktyczne od 6 do 9-ej; razem teorii godz. 36, praktyki 168. Oplata na kursach wynosi 100 zł. za trzy miesiące i pokrywa tylko koszt ich prowadzenia.

Kursy tego rodzaju mają ogromne znaczenie, dając paniom możliwość przyswojenia sobie zasad ekonomiki domowej. Sluchaczki kursów mają możliwość zaznajomienia się z najnowszymi zdobyczami w urządzeniu racjonalnego mieszkania i kuchni, z udoskonalonemi sprzętami i przyrządami gospodarskimi.

K. S. G. D. ma zamiar urządzenia specjalnych parotygodniowych kursów dla kończących seminarja, ażeby młode nauczycielki, w trudnych nieraz warunkach, umiały jaknajlepiej odżywiać się i racjonalnie urządzić swoje małe gospodarstwo, a przez to służyć przykładem dla otoczenia.

## KORESPONDENCJE

Pani L. N. — Grudziądz. — Sądzę, że gatunek materiału, lub złe ufarbowanie go jest przyczyną występujących plam, bo materiał nie ma naturalnego koloru. Niech Sz. Pani spróbuje uprać go w otrębach, następnie splócze w miękkiej, zimnej wodzie, rozłoży, zlekka wysuszy między dwoma prześcieradłami i zaraz prasuje przez czyste płótno.

Pani H. R. — Sokół Podlaski. — Ścieg gobelinowy robi się na kanwie długimi ściegami (półkrzyżkami) włóczką odpowiedniej grubości tak, aby kanwa była dokładnie nakryta.

Pani M. O. — Kraśnik. — Pośrednictwem w zaprenumerowaniu pism francuskich służyć nie możemy; niech Sz. Pani zrobi to przez jaką księgarnię, albo prześle prenumeratę wprost do Paryża. Adres Redakcji „Mon Ouvrege“: Paris — Rue Gazan 1.

Pani M. J. — Wilno. — Postaramy się wkrótce umieścić w „Bluszczu“ sposób wykonania haftu japońskiego.

Pani J. Cz. — Wola. — Szczerze żałujemy, że nie możemy przyjść Sz. Pani z pomocą; zajęcie, wspomniane w ogłoszeniach „Kobiety“, polega na rozprzedaży wydawnictw i nadaje się tylko dla osób, mieszkających w dużych miastach.

P. Marja Grolle-Ziembicka — Kraków. Miody, sprzedawane „pod gwarancją“ — jak słusznie Pani pisze, są zwykle niepewne, czemu jednak nie kupcy, lecz producenci są winni. Niech Pani popróbuje się zwrócić do doktorowej Koziell-Poklewskiej (st. Opza ziemi wileńskiej, maj. Miesojedy), jesienią miała doskonały miód do sprzedaży, może jej coś pozostało.

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

**Oskarżam** (na skutek listu p. A. Z.: „W pałacej sprawie“).

Jako mężczyzna, proszę o pozwolenie powiedzenia kilku słów w „Naszej Mównicy“, bo prenumeruję „Bluszcz“ dla żony, czekam na niego z wielką niecierpliwością i czytuję go od „a“ do „z“, oprócz działu kuchennego.

Szczególnie zaciekawiają mnie listy Sz. Pań, bo się dowiaduję, co i jak myślą kobiety inteligentne Wolnej i Niepodległej Polski.

A więc:

1) Stosunki małżonków (tyran-mąż, odmawiający przyszywania guzików, i ofiara-żona, słodząca herbatę mężowi tyranowi).

2) Czy mężatka ma pracować, czy nie.

3) Dzieci niesłubne (aby wszyscy ojcowie płacili jaknajwiększe alimenty — moje zdanie).

4) Palić czy nie palić etc.

Niektóre listy robią wrażenie na czytających, wywołują wymianę zdań; niektóre przechodzą bez echa. Listy p. A. Kobyleckiej („To wy się zreformujcie!“) i S. Dzieciolowskiej („Małżeństwo zawód“) spowodowały szereg innych listów; list zaś p. A. Z. (w Nr. 33 z 29 r. „W pałacej sprawie“) przyjęto milczeniem.

I bardzo mnie to zdziwiło, proszę Sz. Pań! List straszny, pełen nieoschłych łez, i rezygnacji, i rozpacz, bo jest to list matki, która straciła dziecko. Najtragiczniejszy list w całej „Naszej Mównicy“ w roku 1929. Sprawa, poruszona w tym liście, jest bardzo ważna i bardzo aktualna: bo to, co spotkało p. A. Z., może spotkać w każdej chwili każdą matkę pracującą: odmowa urlopu w trakcie choroby dziecka. Oto urywek z tego listu: „Mogła żyć“ — tak powiedział lekarz. Dziecinka umarła, bo nie miała pielęgnacji, bo matka nie uzyskała urlopu!

Inny ustęp: „Dziecko dzieckiem, a szkoła szkołą. Szkoła nie może tracić dlatego, że córka Pani chora“. Pani A. Z. pisze delikatnie, że to była odpowiedź przelożonych; trzeba czytać i rozumieć: odpowiedź p. dyrektora, albo p. kierownika szkoły, bo przecież kobieta na taką odpowiedź się nie zdobędzie. Odpowiedź formalisty biurokraty, dziwna w ustach człowieka, kierującego szkołą, bo to stanowisko samo przez się zmusza do zrozumienia rodziców, lecz nie do lekceważenia tego świętego uczucia.

Te słowa brzmią, jak dzwonek pogrzebowy: „Mogłaby żyć“, „Dziecko dzieckiem, a szkoła szkołą; szkoła nie może tracić dlatego, że córka pani jest chora“.

Piszę w tej sprawie dopiero teraz, bo niedawno przeczytałem ten list: miałem dłuższą przerwę w otrzymywaniu „Bluszczu“.

Przeczytałem i pomyślałem:

Temu panu (mniejsza o to, czy dyrektor czy kierownik) dadzą panie szkołę, nauczą go szanować uczucie matki; już pewno nie spowoduje więcej śmierci dziecka.

Czekałem w następujących Nr. Nr. „Bluszczu“ na burzę gniewu, moc współczucia dla p. A. Z. Milczenie, proszę szanownych Pań, milczenie!

Ani jednego listu współczującego!

Chcę wierzyć, że przynajmniej p. A. Z. dostała listy od matek pod swym prywatnym adresem.

Ależ, proszę Szanownych Pań, przecież takie traktowanie matki, w chwilach, gdy ma ona chore dziecko, musi wywołać protest namiętny, gwałtowny, skuteczny!

Dlaczego Panie nie zażądały podania nazwiska tego pana, aby we wszystkich czasopismach kobiecych wydrukować grubemi czcionkami: P. XZ. nie udzielił urlopu p. A. Z., kiedy dziecko jej było chore i z braku odpowiedzialnej opieki dziecko umarło! aby zasypać go listami treści: Co pan zrobił z dzieckiem p. A. Z.? Pan Bóg cię ukarze za brak serca.

Miałby ten pan ciepło, gdyby kto z bliskiej rodziny zapytał go: Prasa posądza cię o śmierć dziecka, czy to prawda?

Mało tego: Panie, mające wpływy, muszą spowodować, aby temu panu odebrano kierownictwo szkoły: człowiek zły nie może dobrze kierować, ani wychowywać dzieci.

Gdyby przeprowadzono taką akcję, inni szefowie w wypadkach choroby dziecka nie odmawialiby urlopu matce, bo wiedzieliby, że będą mieli wszystkie matki przeciw sobie, a póki sprawa urlopów matek z powodu choroby dziecka nie będzie załatwiona ustawowo, jest to jedyny środek walki z takimi kierownikami.

Niniejszem wyrażam temu nieludzkiemu urzędnikowi swoją pogardę i wierzę, że znajdzie się przyjaciel, który podsunie to do przeczytania p. szefowi.

Zechce satysfakcji, czy sądowej czy honorowej, znajdzie mój adres w „Bluszczu“, ja zaś podam jego nazwisko do ogólnej wiadomości.

Eh, proszę Szanownych Pań! umiecie się z nami kłócić o guziki, roztkliwiać się nad losem kobiety, słodzącej herbatę mężowi, twierdzić, że papieros jest „organiczno-psychiczną potrzebą“, lecz bronić swoich dzieci solidarnie nie potraficie, a co gorzej, wprost nie chcecie.

J. D.

## Z grodu Orzeszkowej.

Na szlaku wielkich wypraw Batorowych ku dalekim wschodnim rubieżom Europy, leżało ongi Grodno.

Huczało bojową pieśnią żelaznego rycerstwa,

grało echem zwycięskich hejnałów, lkało kirem żaloby opustoszałych zagna murów zamczyska, gdy król Batory odchodził w progi wieczności...

Na szlaku bojowych wypraw leżało ongi Grodno.

Skończyły się dni chwały. Przyszedł Sejm Grodzieński...

W posępną zadumę odziany, kłonił się rozpacznie zamek Batorych w omywające mu pokornie stopy, zgiełkliwe fale Niemna... I burze przewiały mu nad głową, i błyskawic przeloty krzesaly o jego twarde, nieugięty grzbiet iskry nowych zapałów, i szubienic różańce wieszały mu się u pokutnej szaty...

Na szlaku mąk i krwi leżało ongi Grodno...

Aż łuny nowych pożarów, szcęk armat i karabinów zwieściły mu skon przeżywanych mąk i nowe zrodziły życie. W trudzie i krwi switały mu jutrznie wolności... Na gruzach dawnej chwały minionych dni, nowy gmach Jutra wznosić poczęły młode ręce... Tworzywo Ducha i serc.

Na nowych szlakach duchowej ekspansji na wschód leży stary gród Batorego... Więc cóż dziwnego, że chociaż mały i cichy z pozoru, wre w nim utajona moc. Żyje i tworzy. W nowych, skromnych i przyziasnych ramach dnia dzisiejszego tworzy bujne, przebogate jutro. Pracuje... myśli... czuje...

W tradycje dnia wczorajszego Grodna wczuły się szczególnie kobiety i nietylko autochtonki. Mając przed sobą widome ucieleśnienie ideałów społecznych w świetlanej postaci mieszkanki Grodna, ś. p. Elizie Orzeszkowej, dążą Jej śladem, realizując pozostawiony przez Nią testament ofiarnej pracy dla Polski.

Zmieniły się formy, zmieniły się warunki, lecz treść pozostała, i znów na szlaku społecznych wyczynów najgłębsze ślady żłobi drobna, lekka stopa kobiety. Grodno jest rzeczywiście w tych wyjątkowych warunkach, że praca społeczna spoczywa przeważnie na barkach kobiet. Niema organizacji, w którejby, o ile nie na czele, to w zarządzie i wśród najczynniejszych członkiń, nie było kobiety. Nawet niektóre instytucje, prowadzone gdzieindziej przez męczyzn (jak np. Czerwony Krzyż), w Grodnie są prowadzone przez kobiety i to prowadzone wzorowo. Jest to znamiennej cechą Grodna.

I dlatego też może nie mamy tu czysto kobiecych organizacyj, prócz „Rodziny Wojskowej“, b. żywotnie prowadzonej i Komitetu Obywatelskiej Pracy Kobiet, który jednakże drzemie, gdyż członkinie są przeciążone pracą społeczną w innych organizacjach, Tow. Ochrony Kobiet (Misja Dworcowa), N. O. K. (szwalnia), Tow. Św. Wincentego à Paulo (stała opieka nad około 200 biednymi). Mimo, że w organizacjach tych pracują same kobiety, mają one jednakże charakter czysto społeczny. Jedyne Kom. Obywat. Pr. Kobiet, który ma za zadanie pracę nad sobą i doskonalenia się osobiste, prosperuje właśnie najslabiej.

Jest to tem większy plus na dobro kobiety, wykazujący jej ofiarność, z pominięciem osobistych, czysto kobiecych dążeń, z drugiej strony jednak, należałoby to zapisać na minus.

Kobieta grodzieńska wszystko daje, nic wzamian

nie żądając dla siebie. I dlatego to na terenie Grodna kobiety pracują intensywnie w całym szeregu organizacji i stowarzyszeń, jak Czerwony Krzyż (prezes, kobieta), Biały Krzyż (instruktorka oświatowa, kobieta), Przystań (Koło Powiatowe: prezes, kobieta), P. O. P. P., Polska Macierz Szkolna, Tow. Dobroczyńności (Żłobek i Przytułek dla starców: opiekunki, kobiety), Związek Zawodowy Nauczycielstwa Szkół Średnich (na 5 osób zarządu, 3 kobiety), Towarzystwo Przyjaciół Literatury i Sztuki (prezes i sekretarka, kobiety).

Na terenie powiatu grodzieńskiego istnieje Koło Ziemianek, Związek Osadniczek i Koło Gospodyń Wiejskich.

Kobieta grodzieńska wszystko daje, nic wzamian nie żądając dla siebie.

I chociaż są już gdzieś niedługo słabe rozbłyski, zwiastujące budzenie się w kobiecie - człowieku dążeń do zdobycia praw i przywilejów, należnych jej, jako człowiekowi, wolnemu duchem, są to zaledwie rozbłyski. Świt jeszcze daleki.

Pragnienie ofiary zabija w kobiecie egoizm jednostki.

J. K. — Grodno.

### Kobiety nie są litościwe.

W 43 numerze „Bluszczu“ ukazał się artykuł bardzo ciekawy, głęboko ujęty, poruszający sprawę wyrodných matek i zbrodni dzieciobójstwa; od tego czasu toczy się polemika w „Naszej Mównicy“ i temat ten jest rozmaicie ujmowany, rozmaite są też myśli i sądy czytelniczek.

Między innymi i ja chcę dorzucić kilka słów od siebie i zająć się tu specjalnie jedną sferą kobiet, które często padają ofiarą nieślubnego macierzyństwa, a mianowicie służących.

Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że stosunek pani do służby jest przeważnie oparty na nieufności i dziwnem traktowaniu służącej, jakby to nie był człowiek, ale wół roboczy, pozbawiony instynktów i własności kobiety.

A więc, krzywo się patrzy na służącą, chodzącą na zabawy, lub do kina; oburzenie wywołuje służąca, jeśli chce się porządniej ubrać, chociaż ciężko nieraz musi pracować na sukienkę, lub buciki.

Pani L. R. z Leszna projektuje wniesienie noweli do związku służących, by im zabronić kupowania kosztownych gałganków!!

Uważam, że każda pani, mając do czynienia z lekkomyślną dziewczyną, może jej sama wytłumaczyć, życzliwie doradzić, by grosza nie trwoniła; jestem pewna, że dziewczyna zrozumie dobrą radę, skorzysta z niej i będzie swej pani wdzięczna.

Zresztą, bardzo dziwić się jej nie można, szczególnie, jeśli jest młoda i chce się podobać, a w dodatku często widzi, jak jej pani, nie zawsze mając na to, wydaje pieniądze bez zastanowienia; boć przecież czasem służące są wtajemniczone w sprawy intymne przez nietakt pana, lub pani domu.

Niezadowolone wywołuje służąca, jeśli zwraca

się do pani, prosząc ją o pozwolenie przyjmowania narzeczonego. Wyjątki tylko zgadzają się na taką prośbę, a nieraz służącą się oddala, chociażby ten narzeczony był uczciwym i porządnym człowiekiem. Dziwne to jest doprawdy, że pani, zamiast dać dziewczynie, pozbawionej rodziców i doświadczenia, trochę opieki i serca, pozbywa się jej czempredziej z domu, jak najcięższego kłopotu.

Stanowczo, musi to ulec pewnej zmianie. Należy żądać od służącej wypełnienia obowiązków, ale też wzamian niechże ona ma trochę przyjemności po pracy.

Pamiętam kilka lat temu w „Bluszczu” prowadzona była polemika na temat służących. Otóż jedna z pań napisała, że nie może znosić obok siebie służącej, używającej perfum i chodzącej w śpiczastych bucikach (takie były wtedy modne). Jeśli służącą stać na to, bo ma dobrą pensję i nie zabiera tych perfum swej pani, to niechże się perfumuje i niech się modnie ubiera. Dlaczegoż służąca ma chodzić w koślawych butach, lub staroświeckiej sukience? Jest kobietą, posiada ten sam instykt, co pani, i też chce być ładna.

A jeśli się zdarzy, że dziewczyna taka zostaje matką z nieświadomości, albo, powiedzmy, uwierzyła i dała się wziąć na lep obietnic i ciepłych słów, to za czyn ten będzie pokutować przez całe życie, jeśli okoliczności nie ułożą inaczej jej sytuacji.

Dziewczyna w ciąży nie dostanie zajęcia, a cóż dopiero dziewczyna, która ma dziecko, ten owoc „rozpusty”, jak mówi pani Róża Machówna! Przecież rozpustnicy dzieci nie mają, bo tam, gdzie jest rozpusta, niema macierzyństwa, i odwrotnie.

Cóż ma począć taka nieszczęśliwa kobieta, która z chwilą widocznej ciąży traci miejsce t. j. pracę i dach nad głową? cóż ma począć ta, której nikt znać nie chce, a ojciec dziecka, uwiódłszy ją, porzucił? co pocznie, gdy dziecko przyjdzie na świat?

I wtedy zrozpaczona matka, widząc grożącą jej i dziecku śmierć głodową, lub hańbę ratuje się sama, zabijając dziecko.

Są to rzeczy straszne, na które trzeba szerzej serce i oczy otworzyć i kres położyć tym tragedjom, które się niemal codziennie rozgrywają.

Pałacą tę sprawę muszą rozwiązać właśnie kobiety, muszą znaleźć sposób ulżenia niedoli tych, które tak, jak my, chcą kochać i wychowywać swe dzieci.

Z przykrością jednak stwierdzić muszę, że kobiety odnoszą się do tej sprawy z dziwną obojętnością, a czasem z okrucieństwem. Nie mają serdecznego, ani dobrego słowa dla tej nieszczęśliwej, nie chcą jej współczuć, ani zrozumieć; zamiast pomocy i opieki, jest tylko słowo potępienia, a stąd lęgnie się upadek i zbrodnia.

J. L. — *Królewska Huta.*

### **W sprawie służby domowej** (*W odpowiedzi p. Czestochowiance*).

Rozumiem niepokój Sz. Pani w chwili wprowadzenia w życie projektowanej ustawy o służbie domowej i dlatego śpieszę podzielić się mojami spostrze-

żeniami w tej sprawie, które powinny Sz. Panią uspokoić, a może i zachęcić szanowne czytelniczki „Naszej Mównicy” do wprowadzenia niektórych zmian, zanim konieczność zmusi do zastosowania ich pod przymusem ustawy.

O ile mi wiadomo, projektowana ustawa nie przewiduje nieprzerwanego 12-o godzinnego odpoczynku służby. Nieprzerwany musi być tylko okres 8 godzin snu, pozostałe więc 4 godziny można dać w innej porze dnia, dla gospodarstwa najdogodniejszej.

Ja wychodzę z założenia, że jeśli pragnę mieć służbę kulturalną, to muszę jej dać możność i czas nabrania tej kultury i zaspokojenia kulturalnych potrzeb. I dlatego już od 2 lat wprowadziłam u siebie system 12-godzinnego dnia pracy, z doskonałym rezultatem. Dzień służącej mojej tak wygląda:

Praca zaczyna się o 6<sup>1/2</sup>, co daje służącej możność oczyszczenia ubrań i przygotowania śniadania na 7<sup>3/4</sup>. Po wyjściu domowników do zajęć, t. j. od g. 8-ej, ma służąca czas do 13 na dokładne sprzątnięcie mieszkania, drobne reperacje bielizny, przepierki i przyniesienie mięsa na obiad (wszystkie inne zakupy załatwia się 2 razy w tygodniu, co ogromnie zaoszczędza czasu; w te dni, naturalnie, nie dysponuje żadnych przepierek i t. p. czynności dodatkowych). O 13-ej przystępuje służąca do gotowania obiadu, który musi być gotów na 15<sup>1/2</sup>. O 16-ej jesteśmy po obiedzie, zmywanie trwa do 17-ej, poczem do 19<sup>1/2</sup> służąca ma czas wolny, a ja miłą chwilę samotności, bez obcej osoby w domu. O 20-ej kolacja, potem ślanie łóżek, zmywanie, ostateczne porządki do 21-ej, a więc znów służąca ma 9<sup>1/2</sup> godzin wypoczynku.

Wyjątek stanowią, naturalnie, 3 dni w miesiącu, zajęte wielkiem praniem, które jednak przy takim ułożeniu ogólnych warunków służąca przyjmuje bez szemrania.

Jedno tylko muszę zrobić zastrzeżenie: trzeba służącą umiejętnie wdroyć do pracy intensywnej, nauczyć ją, że im szybciej robota będzie wykonana, tem więcej czasu zostanie jej na odpoczynek.

*Marja Świeżyńska — Toruń.*

### **Dlaczego nie jesteśmy solidarne** (*in odpowiedzi p. Pawłowskiej*).

Czytając korespondencję p. Poli Pawłowskiej z Krasnegostawu, byłam zaskoczona jej treścią. Co prawda, nie poraz pierwszy byłyśmy wyzwane do walki i krytykowane, na co zwykle odpowiadałyśmy milczeniem, pracując dalej, miało to bowiem miejsce na gruncie miejscowym. Ponieważ tym razem wyzвано nas w prasie, uważam za stosowne na tej drodze odpowiedzieć.

Krytyka, to dobra rzecz, ale musi być rzeczowa i dobrze uzasadniona; krytykować każdy potrafi, ale krytykować tak, żeby nauczyć przeciwnika, to nie wielu.

Szanowna autorka pisze: „Zamiast jedności, kobiety polskie rozpraszają się na różne kółka i kółeczka”. Kto je rozprasza? kto rozbija jedność wśród ko-

biet w Krasnymstawie? Chyba nie N. O. K., bo przecież ta organizacja liczyła już kilka miesięcy pracy społecznej, kiedy został zawiązany Oddział Pracy Obywatelskiej Kobiet. Dlaczego więc w imię przytoczonego w artykule hasła „hej! ramię przy ramieniu! Zgodnemi łańcuchy...“ Szanowna Pani nie zachęciła kobiet, chcących pracować społecznie, do wstąpienia do N. O. K., zamiast zapisywania się do nowotworzącego się Oddziału Pracy Obywatelskiej Kobiet? Byłaby przecież wtedy tylko jedna organizacja i nie byłoby „rozproszkowane“.

Szanowna autorka dalej mówi: „Organizacje mają wspólne hasła, o ile chodzi o pracę społeczną“, tak, ale dlaczego właśnie to zastrzeżenie, zresztą słuszne, znaczy, że te organizacje mają inne hasła, jeżeli chodzi o inną pracę, nie społeczną, ale jaką. Szanowna Pani nie przytacza.

I teraz dochodzimy logicznie do pytania: dlaczego więc, jeżeli chodzi o jednakowe hasła pracy społecznej, część kobiet polskich po przewrocie majowym utworzyła nową organizację pod tytułem „Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet“? Dlaczego, w imię jedności i solidarności, kobiety nie weszły do N. O. K., założonej znacznie wcześniej, bo w r. 1918? Czemu?

Szanując wiedzę i inteligencję Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, nie przypuszczam, żeby bezmyślnie, ot tak, „pour le roi de Prusse“, stworzyły nową organizację kobiecą, kiedy już jedna istniała. Widocznie miały jakiś cel, jakiś powód, a gdy ją stworzyły, to trzeba się zgodzić z tem „rozproszaniem“, to jest z istnieniem dwóch organizacji kobiecych. I właśnie tem należy sobie wytłumaczyć powstanie Oddziału Pracy Obywatelskiej Kobiet w małym Krasnymstawie, nawet wtedy, gdy już od kilku miesięcy istniał Oddział N. O. K.

Mówi autorka o „niesnaskach, krytykach i nieporozumieniach“; jestem przewodniczącą Oddziału N. O. K., ale nic o nich nie wiem. My pracujemy zgodnie i cicho, bez rozgłosu; niechaj nasza praca, więcej czy mniej udolna, dla dobra Polski, mówi o nas. Do Oddziału Pracy Obyw. Kobiet nie wtrącamy się, nie krytykujemy go i nie zwalczamy; przypuszczamy, że te panie chcą też coś dobrego dla Polski zrobić, a omyłki mogą być wszędzie. Uważamy, że niech będzie współzawodnictwo między dwiema organizacjami kobiecymi, ono może się tylko przyczynić do ożywienia ruchu kobiecego, a na tem ojczyzna jedynie zyska, jeżeli swoje własne ambicje złożymy na jej ołtarzu. Dałabym jedną radę: nie walcmy ze sobą, a według naszego poety: „Czyń każda w swem kółku, co każe duch boży, a całość sama się złoży“.

A teraz kilka słów o niewoli organizacyjnej.

W naszym oddziale niema cienia teroru, kobiety zapisują się z wolnej i nieprzymuszonej woli, jeżeli tylko nasze hasło „Bóg i Ojczyzna“ odpowie ich przekonaniu, a przyjmujemy te, których życie jest nienaganne. U nas niewoli niema. Wychodzimy z tego założenia, że należy działać nie terorem, a przekonaniem. Każda z członkiń naszych jest wolna, może zawsze wypisać się z organizacji; jest u nas natomiast karność, i tę właśnie cechę, którą należy z całym za-

pałem i z całą wytrwałością wyrabiać w naszym narodzie, Szanowna autorka nazywa niewolą organizacyjną.

My „nie zabramy“, ale chcemy, żeby nasze członkinie, zupełnie świadomie przykładały rękę do tej czy innej sprawy; uświadomiwszy je, dajemy im swobodę działania. Uważam, że uświadamianie rzeczowe, zgodne z prawdą, winno być punktem wyjścia dla każdej organizacji.

Na pytanie autorki: „Czybyśmy jeszcze nie dorosły“? odpowiadam, że my nie jesteśmy zarozumiałe, nie twierdzimy, żeśmy już dorosły; rosnać będziemy w naszej organizacji, która na terenie miasta Krasnegostawu jest, jak wiadomo, jeszcze bardzo młoda.

*Stanisława Leśnikowska — Wiszowa.*

*Przewodnicząca N. O. K. w Krasnymstawie.*

## Nasza ankieta gospodarcza.

Ankieta budzi ciągle żywe zainteresowanie; otrzymaliśmy ze Śląska ponowny szereg odpowiedzi, które zamieszczamy zbiorowo, z powodu, że wszystkie prawie brzmią jednakowo.

1. Sprawunki załatwiają panie same (z wyjątkiem jednej).
2. U stałych dostawców.
3. Różnicy w towarach krajowych i zagranicznych nie zaznaczają, z wyjątkiem towarów bawełnianych, wełnianych i płóciennych.
5. Większość nabywczyń śląskich z tego szeregu odpowiedzi nie zgłasza żadnych żądań do kupców (z wyjątkiem jednej); wynika to może w większości wypadków z zadowolenia z towaru, ale chyba czasem i z braku... decyzji, gdyż np. z opakowania, traktowania i t. p. jest dużo niezadowolonych.
6. Większość odpowiedzi stwierdza dobrą wagę, marne opakowanie, często niehigieniczne; traktowanie niezawsze uprzejme (a więc, trzeba reklamować).
7. Część pań czyta ogłoszenia, część nie.
8. W „Bluszczu“ większość pań prosi o ogłoszenia o ubraniach, towarach płóciennych, wełnianych, bawełnianych, przedmiotach gospodarstwa i domowego użytku.
9. Większość nie wyjeżdża dalej po zakupy.
10. Dwie panie zgłaszają następującą uwagę: Pożądanem byłoby, aby istniały różnice w cenach dla klientów, kupujących towary za gotówkę, oraz dla tych, którzy kupują na kredyt. Udzielanie przy końcu roku rabatów, względnie zniżki, stosują tylko nieliczni sprzedawcy. Kupiec zmuszony jest przy oddaniu towaru na kredyt policzyć dodatek, jako ryzyko, z drugiej strony jednak, niesumienni kupcy (mebli, manufaktur) używają tej różnicy względem płaćących gotówką, jako platformy targu o nią. Czyby drogą ustawy nie dało się temu zapobiec?

1. Wszystkie zakupy załatwiam sama.
2. Kupuję przeważnie w jednych sklepach.
3. Podług mnie różnica w wyrobach krajowych i zagranicznych jest minimalna co do jakości, a ogromna w cenie, nie raz przepłacamy krajowy towar, podawany, jako zagraniczny.
4. Kraków całkowicie zadowala moje potrzeby.
5. Jeżeli zauważę jakies braki, zwracam się do dostawcy.
6. Ponieważ biorę w firmach solidnych, przeto wagi nie kontroluję; na opakowanie narzekać nie mogę. Co do traktowania publiczności, nie zawsze i nie wszędzie odpowiada ono wymaganiom kulturalnym, choć od pewnego czasu zmieniło się na lepsze. Kredyt mam łatwy.

10. Powojenne towary, po większej części, są szaloną tandetą, co szczególnie uwydatnia się w wyrobach płócien, madałopolamów, perkali i t. p., których trwałość dobrze jeśli do półtora roku się przeciągnie.

*B. G. — Kraków.*